Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 25 kwietnia 1954 r. Nr (439) 17

TADEUSZ SILNICKI

U grobu św. Wojciecha

Złożenie zwłok św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej — fragment płaskorzeźby z „Drzwi gnieźnieńskich"

23 kwietnia przypada dzień św. Wojciecha, biskupa i męczennika. Podług zwyczaju przyjętego w kościele katolickim — dzień śmierci świętego jest upamiętniony w kalendarzu, brewiarzu i mszale, a obchodzony uroczyście w gnieźnieńskiej Katedrze, która nosi jego wezwanie i mieści jego grób. Prócz lokalnego, gnieźnieńskiego, ma jednak św. Wojciech szersze znaczenie, gdyż od zarania dziejów uważany był za patrona i obrońcę Polski, i w tym charakterze doznawał szczególniejszej czci. W swoim zaś czasie, w XI i XII wieku, był to nawet kult powszechny, w którym prześcigały się nie tylko Czechy i Polska, jako kraje z osobą świętego związane, lecz także Węgry, Niemcy i Włochy.

Jedna Polska wszakże ma prawo ponad inne kraje uważać św. Wojciecha za swego. Nie Czechy — jego właściwa ojczyzna — i nie Praga, w której był biskupem, bo go się wyrzekły, niemal wygnały i dopiero po niewczasie zapragnęły posiąść jego zwłoki-relikwie. I nie Rzym — gdzie w benedyktyńskim klasztorze na Awentynie spędził swe najszczęśliwsze chwile, i gdzie z wyroku papieża Sylwestra II zaraz po zgonie osiągnął kanonizację, bo ten Rzym w rozgwarze wypadków dziejowych rychło o nim zapomniał. A już najmniej Niemcy, w których wierny przyjaciel i wielbiciel świętego — cesarz Otto III — szerzył jego kult od Akwizgranu po Ruchenau nad jeziorem Bodeńskim, gdyż Otto zmarł niebawem w młodzieńczym wieku, a jego następcy nie mieli powodu czcić tego, któremu Polska zawdzięczała swą samoistność kościelną, a tym samym — wzniesienie tamy dla niemieckiego imperializmu na wschodzie.

Wszak w 10 lat po śmierci Wojciecha pisze Bruno [illegible] biskup misyjny, entuzjasta nie tylko Wojciecha, lecz i Bolesława Chrobrego, ów słynny list do cesarza Henryka II, w którym w ogniu walki Polski z Niemcami potępia cesarza i jego niemieckie metody. „Cavé o rex — Strzeż się, królu, gdybyś chciał zawsze postępować przemocą, a nie miał nigdy miłości... bo człowiek sądzi, ale Bóg rządzi. Czyż św. Piotr, którego wiernym poddanym uznaje się Bolesław i św. **Wojciech męczennik** nie obronili tego Królestwa, kiedyś je napadł, Królu, do spółki z poganami (mowa o sprzymierzonych Lutykach w wojsku niemieckim) i wdarł się w jego granice?"

Powstanie organizacji Kościoła w Polsce u grobu św. Wojciecha jest faktem olbrzymiej i dalekosiężnej doniosłości. Związki przyczynowe są niezaprzeczone. Oto kolejność zdarzeń. Wojciech spragniony apostolstwa, a bardziej jeszcze „poszukujący Chrystusa w śmierci", spędza parę swych ostatnich miesięcy w Polsce u boku Chrobrego, następnie z jego ramienia wyprawia się do Prusaków na misję i ponosi tam śmierć męczeńską w 997 r.; Bolesław wykupuje jego zwłoki — jak chce legenda — na wagę złota, a wykupuje nie tylko z całą świadomością religijną, lecz i z nieomylnym zmysłem politycznym, że to skarb nad skarby i rękojmia przyszłych sukcesów, potem zaś uroczyście sprowadza je do Gniezna i każe pochować w kościele, niebawem archikatedralnym. Kanonizacja oraz decyzja o założeniu w Gnieźnie metropolii tytułem św Wojciecha następują w latach 998—999. Rok 1000 jest datą wykonania tych uchwał na miejscu, w Polsce, na słynnym zjeździe cesarza Ottona III z naszym Bolesławem.

Ten zjazd gnieźnieński, olśniewający wspaniałością współczesnych i potomnych, jest zarazem pielgrzymką cesarską, synodem papieskim przez obecność kardynałów-legatów i kongresem politycznym. Równocześnie kościół polski przeradza się z pierwiastkowej postaci biskupstwa misyjnego w normalną prowincję metropolitalną i Polska staje w obliczu cesarstwa jako państwo sprzymierzone, lecz niepodległe. Stąd już krok tylko do korony królewskiej, ostatecznego symbolu tego stanowiska. Posiadanie w państwie arcybiskupa jest umożliwieniem koronacji pod względem formalnym, jak pod względem faktycznym podstawą jest ówczesna potęga Polski.

Kto to sprawił? Głównym czynnikiem był niewątpliwie geniusz Bolesława Chrobrego, który uzyskał nader pomyślną, wprost wyjątkową koniunkturę. Cesarz Otto — raczej Rzymianin niż Niemiec — i papież Sylwester (Gerbert d'Aurillac) — pierwszy Francuz na Stolicy Apostolskiej — współdziałali z nim; oczywiście nie tyle w interesie Polski, ile dla ogólniejszych i wyższych celów braterstwa ludów i harmonii władzy świeckiej z duchowną. Ale nie stałoby się to wszystko, gdyby nie święty Wojciech. Jego śmierć z punktu widzenia misyjnego bezowocna, była dla Polski wprost opatrznościowym zdarzeniem. Znaczenie tej śmierci zrozumiał w lot i wyzyskał Chrobry i na tym polega jego wielkość, okazana w danym momencie dziejowym. Wszyscy oni łączyli się najszczerzej w kulcie dla Wojciecha, który tak niedawno jeszcze był między nimi i którego kochali, przyciągani jakby magnetyczną siłą, którą ma w sobie prawdziwa świętość. Bo Wojciech, uważany był za doskonałego we wszystkich cnotach za świętego niezależnie od późniejszego męczeństwa — **„extra martyrium vere sanctus"**.

Święci słyną zwykle cudami. Jakiż był największy cud św. Wojciecha? Nie mamy na myśli cudów, nie zawsze autentycznych, od których roi się łatwowierne średniowiecze, a konwencjonalną legenda wysławia i wyzłaca (Legenda Aurea). Jego cud leży w dziedzinie kościelno-politycznej, albowiem powstanie metropolii gnieźnieńskiej było tak bardzo niespodziewane i tak skrajnie przeciwne dotychczasowej polityce niemieckiej na kresach, że urastało do znaczenia cudu — cudu św. Wojciecha, donioślejszego od tych, które działy się u jego relikwii, tak łakomie pożądanych. Cud ten był triumfem Polski, a klęską wrogiego jej i całej zachodniej Słowiańszczyźnie Magdeburga. Metropolitalny bowiem Magdeburg, bastion saski na wschodzie wyciągał chciwe ręce, by ujarzmić młody Kościół polski, a w tej akcji nie cofał się naprzemian przed gwałtem i fałszowaniem dokumentów. Dlatego rozumiemy namiętny wybuch Bolesława Chrobrego, który w r. 1007, podczas wojny z Henrykiem II, wyjechał konno na brzeg Łaby i wygrażał i złorzeczył leżącemu po drugiej stronie rzeki miastu. Pojedynek Magdeburga z Gnieznem toczyć się będzie nadal, ale wygra go Gniezno, czyli Polska.

Cud ten stał się nie za życia, lecz już po śmierci św. Wojciecha. Dziwna rzecz — ten asceta, mistyk i wizjoner, ten człowiek żyjący intensywnie życiem wewnętrznym, ale w zetknięciu ze światem często bezradny, bo pozbawiony zmysłu praktycznego i talentu organizacyjnego — nieszczęśliwy biskup w swej diecezji i chybiony apostoł na misji — stał się po swej śmierci wielkim symbolem. Ma więc Wojciech jakby dwa żywoty: jeden doczesny, drugi pośmiertny; ten drugi jest ważniejszy dziejowo i obfitszy w skutki od pierwszego. A jest także o wiele dłuższy, gdyż ciągnie się przez wieki, o wiele bogatszy w treści i dla historyka ciekawszy. Otwierają się rozległe perspektywy kościelne, polityczne, kulturalne i moralne. Nad grobem św. Wojciecha jest więc o czym podumać.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

OKOLICZNOŚCI PRZYJĘCIA CHRZTU PRZEZ POLSKĘ

SPRAWA kościelnej podległości najdawniejszej Polski arcybiskupstwu magdeburskiemu wydawała się oczywista w świetle tekstu Thietmara. Kronikarz ten, biskup merseburski, piszący na samym progu XI wieku, doskonale zorientowany w splocie stosunków polsko - niemieckich, wydawał się źródłem nieposzlakowanym. Otóż Thietmar w księdze drugiej swego dzieła w rozdziale 22, pisząc o erekcjach biskupstw w terenach zachodnio - słowiańskich w r. 968 powiada tak: cesarz mianował arcybiskupem Magdeburga po pewnych wahaniach Adalberta z Trewiru, z profesji mnicha. „Był on przedtem mianowany biskupem dla Rusi, lecz wypędzony stamtąd przez pogan". Ten arcybiskup konsekrował w r. 968 „Bozona, pierwszego pasterza Merseburga, Burharda, pierwszego biskupa Miśni i Hugona, pierwszego biskupa Żytyc. Dołączył do nich pierwszego biskupa hobolińskiego, Dudona, który już przed tym otrzymał sakrę... Do rzędu tych duchownych pasterzy wcielony został ponadto pierwszy biskup Brenny (sc. Brandenburga) Thietmar (sc. oczywiście nie identyczny z kronikarzem Thietmarem) konsekrowany dawno przed nimi, oraz pierwszy biskup poznański, Jordan".

W r. 968 dokonano tedy stabilizacji organizacji kościelnej na ziemiach słowiańskich częściowo podbitych, a częściowo podbijanych. Wiadomo, czym dla administracji państwowej niemieckiej była pozostająca w jej dyspozycji organizacja kościelna. Trwałość tej ostatniej i podległość jej ośrodkom dyspozycyjnym niemieckim gwarantowała ostateczne powodzenie podboju.

Wydawało się że do tego obrazu dołączyć należy i najdawniejszą historię organizacji kościelnej w Polsce. Wydawać się to mogło także na podstawie pobieżnej lektury tekstów dotyczących najdawniejszych stosunków polsko - niemieckich.

I tak — mnich saski, Widukind, piszący w drugiej połowie X wieku (w siódmym dziesiątku tego stulecia) donosi o wojnie, jaką stoczył, prawdopodobnie w r. 963, książę Mieszko I, nazwany dość dziwnie i po dziś dzień w sposób ostatecznie niewytłumaczony, władcą Licikawików. Książę ten został pobity przez grafa saskiego Wichmana. Graf saski nie działał sam, lecz stał na czele koalicji plemion słowiańskich Redarów i Wolinian. Wichman następnie był w sporze z ówcześnie panującym niemieckim cesarzem, Ottonem I Wielkim. Więc mogło być wątpliwe, czy wojna Wichmana z Mieszkiem należy do sfery stosunków polsko-niemieckich. Ale i tutaj włączył się Thietmar, piszący swoją kronikę w pół wieku później. Streszczając i potwierdzając Widukinda, podał jednak wiadomości częściowo odmienne. W szczególności podał wiadomość, że w tym krytycznym roku (prawdopodobnie 963) Gero podporządkował Mieszka cesarzowi. Owa redakcja opisu zdarzeń z r. 963 dokonana przez Thietmara, prowadziła do tysiącznych kombinacyj. Jedni twierdzili więc — i takich było sporo — że w r. 963 Gero wręcz pobił Mieszka. Inni, że wprawdzie Gero nie działał bezpośrednio, ale że Wichman był faktycznym narzędziem Gerona. Ze zatem klęska Mieszka była sukcesem Gerona i że ten stan rzeczy został streszczony przez Thietmara.

Od takiego ujęcia stosunków polsko - niemieckich był krok tylko do wniosku, że organizacja kościelna ziem polskich, jaką spotykamy w r. 968, była prostym następstwem podboju Polski, dokonanego przez Wichmana względnie Gerona. Tak czy owak dzieje Polski włączały się do obrazu systematycznego podboju ziem zachodnio - słowiańskich przez Niemcy.

Ten obraz okazał się jednak historycznie do gruntu fałszywy. Historia formowania się nowego poglądu na tę sprawę i walka starego poglądu z nowym jest do tyla ciekawa, że zasługuje na dokładniejsze omówienie.

Owoż uczonym, który pierwszy zaprzeczył autentyczności tekstu Thietmara o podległości biskupstwa poznańskiego arcybiskupstwu magdeburskiemu był słynny mediewista niemiecki, Paul Kehr. Ogłosił on w r. 1920 w berlińskiej akademii nauk rozprawę pt. *Das Erzbistum Magdeburg und die erste Organisation der christlichen Kirche in Polen* („Arcybiskupstwo magdeburskie i pierwsza organizacja kościoła chrześcijańskiego w Polsce"). W rozprawie tej przeprowadził dowód, że w żadnych dokumentarnych źródłach współczesnych, w których mowa o biskupstwach podległych arcybiskupowi w Magdeburgu, nie ma zupełnie mowy o biskupstwie poznańskim, ani w r. 968 ani także w r. 981. Pretensje magdeburskie przeniósł więc Kehr dopiero na czasy po roku tysiącznym. I z nimi związał informację Thietmara, mylnie umiejscowioną pod r. 968.

Można zauważyć, że znakomita zresztą praca Kehra ukazała się w dwa lata po klęsce niemieckiej z r. 1918. Ta klęska zapewne skłoniła koła intelektualne niemieckie do rachunku sumienia, a w szczególności do rozstania się z przesłankami wynikającymi z notorycznie błędnego rozumienia i przedstawiania historii.

Wywody Kehra były tak oczywiste, że niewiele pozostawało do dodania. Akceptował je nasz znakomity historyk kościoła, Władysław Abraham w r. 1921 w rozprawie pt. „Gniezno i Magdeburg". Tyle tylko, że bardziej sprecyzował i określił czas, w którym ostatecznie powstało roszczenie magdeburskie.

Równolegle z tym stanem rzeczy postąpiły badania na odcinku najdawniejszych stosunków polsko-niemieckich. Zainicjował je publikujący prawie równocześnie z Kehrem, Stanisław Zakrzewski, a po nim podjęła je długa lista uczonych, wśród których na pierwszy plan wysuwały się nazwiska Kazimierza Tymienieckiego, Józefa Widajewicza, świeżo zmarłego Mariana Zygmunta Jedlickiego i najmłodszego w tym gronie, ale od pierwszych lat świetnie zapowiadającego się, Gerarda Labudy.

Tak jak dziś na tę sprawę patrzymy, zdarzenia z r. 963 w części tylko należą do sfery stosunków polsko - niemieckich. W tym czasie Polska i Niemcy z sobą jeszcze prawie nie sąsiadują. Nie sąsiadują, ponieważ Słowiańszczyzna wielecka i obodrzycka, choć podbita i podbijana, żyje jednak w formach odrębności państwowej. Tylko terytorium Serbów łużyckich należy od r. 963 w sposób bezpośredni do Niemiec. Jeśli zatem dawniejsza historiografia zdarzenia z r. 963 analizowała głównie pod kątem widzenia stosunków polsko - niemieckich, to ulegała błędnemu rzutowaniu w przeszłość stosunków znacznie późniejszych. W połowie wieku X realnością są przede wszystkim wzajemne relacje pomiędzy Słowianami czeskimi, wieleckimi i polskimi. Partner niemiecki przychodzi od zewnątrz. Nie on nadaje główny ton tym stosunkom.

Zdarzenia z r. 963 należą do sfery walki księcia piastowskiego ze Słowiańszczyzną wielecką, zwłaszcza o ujścia Odry i miasto Wolin. Postać grafa Wichmana jest tutaj akcydentalna. Nie ma żadnych śladów, aby Wichman mógł działać z ramienia Gerona. Margrabia Gero natomiast włączył się w zdarzenia z r. 963 w ten sposób, że doprowadził do układu politycznego pomiędzy Ottonem I a Mieszkiem I; układu opartego w zasadzie na przymierzu, opłaconego jednak przez Mieszka trybutem, który był uiszczany z obszarów na północ od Warty. Chodziło tutaj o Pomorze Zachodnie, terytorium sporne pomiędzy Mieszkiem a Słowiańszczyzną wielecką.

Układ Mieszka z Geronem nie był jedynym następstwem niepowodzenia odniesionego w r. 963. Ponieważ do tego czasu Słowiańszczyzna wielecka pozostawała we współpracy z księciem czeskim, konieczne było rozerwanie porozumienia pomiędzy tym plemieniem słowiańskim a dynastią Przemyślidów. Stało się to poprzez włączenie się Czech do układu zawartego pomiędzy Mieszkiem a Geronem. Układ niewątpliwie przewidywał przyjęcie chrztu przez Mieszka. Owoż chrzest ten miała zapośredniczyć księżniczka czeska Dąbrówka, siostra panującego podówczas księcia czeskiego, Bolesława I.

Należy zdać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej Polska znalazła się w r. 963. Wspomnieliśmy już, że główny ton jej ówczesnym stosunkom zewnętrznym nadawał konflikt ze związkiem wieleckim i że rozerwanie porozumienia wieleckoczeskiego było warunkiem pomyślnego rozegrania partii wieleckopiastowskiej.

Punktem wyjścia ekspansji piastowskiej w kierunku północno-zachodnim była bez wątpienia wielka klęska połączonej Słowiańszczyzny zachodniej, poniesiona w r. 955. Ważna to data w historii tej części Europy w X wieku. W tym samym bowiem roku rozgromieni zostali również Madziarzy, plaga Europy w X wieku po poprzedzającej ją w X wieku pladze najazdów normańskich.

Ciężka klęska Słowiańszczyzny zachodniej bez wątpienia ułatwiła działania Mieszka w kierunku północno - zachodnim. Ale Słowiańszczyzna wielecka okazała się odporna. Najpierw plemię Redarów, a obok nich plemię Wolinian, dysponujące niezwykle bogatą osadą miejską na wyspie Wolin u ujścia Odry. Koalicja była tak dalece mocna, że przy udziale grafa saskiego, Wichmana, mogła pokonać Mieszka w r. 963. Zdaje się, że napad Wolinian i Redarów sięgnął aż po Santok. Ślady spalenia najstarszego grodu, datowane na połowę wieku X, można by bowiem chyba najsłuszniej łączyć ze zdarzeniami z r. 963.

W połowie X wieku przed polityką polską staje dylemat wielkiej natury. A więc, czy stać się obiektem ekspansji zachodniej w tym czasie saskiej i pozwolić na to, by zaprowadzanie chrześcijaństwa stało się narzędziem agresji, czy też zdecydować się na samodzielne przyjęcie chrześcijaństwa. Była to decyzja, od której wiele w przyszłości zależeć miało.

(Dokończenie na str. 6)

Jan Matejko — Chrzest Polski

ANDRZEJ MICEWSKI

Problem własności

I.

TRWAŁYM składnikiem ideologii ruchu społecznie postępowego katolików polskich są założenia socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Do założeń tych ruch doszedł w wyniku kilkuletniej pracy koncepcyjnej i działalności ideowo-politycznej. Dzisiaj narosły już nowe problemy, które absorbują siły katolików społecznie postępowych. Ponieważ jednak we wszystkich naszych publikacjach sprawa mobilizacji katolików do budownictwa socjalistycznego zajmuje czołowe miejsce, nie od rzeczy będzie poświęcić trochę miejsca przypomnieniu teoretycznego problemu sporu o własność, który przed kilku laty wywołał wśród katolików polskich namiętną dyskusję. Przypomnienie tego problemu pozwoli nam spojrzeć z perspektywy na drogę ideową, którą przebyliśmy, tym zaś katolikom, którzy jeszcze do naszego stanowiska nie doszli, umożliwi — być może — podjęcie dalszych przemyśleń.

2.

WŁASNOŚĆ prywatna była w rozwoju dziejowym wielokrotnie już centralnym problemem i, trzeba to przyznać, częstsza była ostra krytyka tej instytucji niż jej wynoszenie, a nawet modne w Polsce jeszcze przed kilku laty, kanonizowanie własności.

Spór o własność dobiega w naszej dobie ostatecznego rozstrzygnięcia. Charakterystyczną cechą rewolucji socjalistycznej, w obrębie której żyjemy, jest to, że w ogóle znosi instytucję prywatnej własności środków produkcji w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich ustrojów społecznych, które tylko ograniczały tę własność lub przesuwały w ręce innej warstwy.

Definicji własności było wiele i dla naszych rozważań większe znaczenie mają raczej podziały wprowadzane wobec pojęcia własności niż sama jej definicja. Ogólnie biorąc przez własność rozumiemy tu: wyłączne prawo do posiadania i uznawania za swoją jakiejś rzeczy, z wykluczeniem praw drugich do tej rzeczy.

Aby móc poprawnie rozumować na temat własności, trzeba więc dokonać precyzji takich pojęć, jak: władanie i posiadanie oraz władanie i użytkowanie. Władanie dobrem to co innego niż posiadanie go. Władanie polega na objęciu go w dyspozycję, rozporządzaniu nim, posiadanie zaś jest prawem do tego dobra wyłącznym i wykluczającym prawo innych.

Władanie nie równa się także użytkowaniu. Można mieć dobro w dyspozycji do rozporządzania nie użytkując go. Użytkowanie więc oznacza korzystanie z dobra dla siebie, niezależnie od tego, kto jest jego właścicielem.

3.

PO tych krótkich uwagach możemy przejść do meritum problemu własności. Tak zwana tradycyjna doktryna chrześcijańsko - społeczna, która zrodziła się w drugiej połowie ubiegłego stulecia, a której szczytowym wyrazem były Encykliki społeczne „Rerum Novarum" 1891 i „Quadragesimo Anno" 1931, stanęła na gruncie indywidualnej czyli prywatnej własności środków produkcji, dopuszczając jednak ograniczenia tej własności. Pogląd ten opierał się o dwie naczelne przesłanki. Pierwszą jest doktryna personalizmu chrześcijańskiego, postulująca wolny, wszechstronny rozwój osobowości ludzkiej w drodze do doskonalenia się i dążenia do Boga, który jest naczelnym celem życia osobowego człowieka. Własność prywatna w tej koncepcji jest niezbędnym warunkiem niezależności i wolności człowieka mającego się doskonalić wewnętrznie i dążyć do swego celu nadprzyrodzonego.

Druga przesłanka mieści się w założeniach prawa natury, sformułowanych przez Arystotelesa oraz jak to twierdzą błędnie niektórzy i przez św. Tomasza z Akwinu. Do interpretacji prawa natury przez św. Tomasza jeszcze powrócimy w części 5-ej niniejszego artykułu. Otóż ta druga przesłanka sprowadza się do tezy, że własność prywatna wypływa z wymogów natury ludzkiej, jest prawem natury. Naczelnym argumentem jest tu teza, że człowiek najlepiej pracuje i rozwija się na swoim, że taka praca najbardziej go angażuje.

Tego rodzaju poglądy katolików zrodziły się w określonych warunkach i czasie. Już encyklopedyści, a przede wszystkim Rousseau, lansują hasło pełnego liberalizmu gospodarczego i nieograniczonej własności środków produkcji. Gwałtowny rozwój przemysłu, wynalazki i postęp cywilizacyjny w ciągu całego wieku XIX — przy powszechnym panowaniu zasady liberalizmu gospodarczego — powodują jaskrawy proces wyzysku, krzywdy społecznej w wielu krajach. Reakcją na to jest socjalizm utopijny, a następnie marksistowski socjalizm naukowy wiązący się z ruchem robotniczym, walczącym o swe ekonomiczne, a następnie polityczne prawa. Marksizm domaga się całkowitego zniesienia prawa własności prywatnej środków produkcji. Tylko w tym widzi możność zahamowania procesu narastającej krzywdy i niesprawiedliwości społecznej. Katolicy przeżywają w tym okresie, tzn. w wieku XIX, a później i w XX, okres tragicznych zaniedbań społecznych. Zanim ukazały się obie Encykliki społeczne (zresztą w odstępie 40 lat), ideologia postępu, ruch robotniczy i świadome kierownictwo obiektywnie istniejącą walką klasową, były już dawno stworzone w oparciu o odmienny od naszego, materialistyczny pogląd na świat. Ojciec święty Pius XI nazwie utratę przez Kościół klasy robotniczej „największym nieszczęściem Kościoła XIX wieku".

Jakkolwiek byśmy oceniali poszczególne sformułowania Encyklik społecznych dziś po 63 latach od ukazania się „Rerum Novarum" i 23 latach od „Quadragesimo anno", trzeba zdawać sobie sprawę, że były one pierwszym krokiem ku wyjściu z owego „nieszczęścia Kościoła XIX w.".

A jednak równie trzeźwo trzeba sobie zdać sprawę, że katolicy w całej pierwszej połowie XX wieku nie nadrobili zaniedbań wieku XIX, a nawet w wyniku niezwykle szybkiego postępu procesów społecznych i rewolucyjnych powiększyła się odległość między katolicyzmem a światem robotniczym na wielkich obszarach ziemi.

Tak więc sprawy społeczno - gospodarcze, a na ich czele sprawa własności wydaje się dzisiaj w drugiej połowie XX wieku być jednym z naczelnych problemów dla katolików.

4.

ENCYKLIKI społeczne broniąc własności ze stanowiska personalizmu i prawa natury wysunęły koncepcję ustroju o ograniczonym zakresie własności prywatnej środków produkcji. Uczciwość w przedstawieniu tradycyjnej koncepcji chrześcijańsko - społecznej w sprawie własności wymaga jeszcze podkreślenia specyficznych cech ujęcia tej koncepcji. Mianowicie rozróżnia ona prawo do posiadania od prawa do użytkowania dóbr. Człowiek mając pełne prawo posiadania dóbr, może je użytkować tylko do wysokości potrzeb swego stanu, reszta podlega już zasadzie: „Usus communis". Tu mieści się główny moment wychowawczy koncepcji katolicko - społecznej. Wreszcie należy wspomnieć o tak zwanej zasadzie pomocniczości, która była znana wśród reprezentantów tradycyjnego katolicyzmu społecznego, a która to zasada polega na podstawowym prawie do własności prywatnej, z pomocniczą możnością uspołecznienia w wypadkach koniecznych dla dobra ogółu lub względów sprawiedliwości.

Wszystkie powyżej zarysowane poglądy zrodziły się w warunkach ustroju liberalno - kapitalistycznego i stanowią korekturę tego ustroju, jedynie drogą ograniczania „świętej" i nienaruszalnej zasady własności. Od czasu powstania tych poglądów w ich ostatecznym ujęciu minęło kilkadziesiąt lat, w czasie których instytucja i prawo własności prywatnej zostało skompromitowane ostatecznie biegiem spraw społecznych naszych czasów. Oto przyczyny tego stanu:

po pierwsze: postępujący rozwój kapitalizmu przynosił postępujący wyzysk i krzywdę społeczną; po drugie: własność prywatna stała się anachronizmem w wielu dziedzinach, w Polsce szczególnie w rolnictwie, które wymaga wobec współczesnych potrzeb produkcyjnych scalenia obszarów i wysokiej techniki uprawy, jaka jest niemożliwa w gospodarce prywatnej; po trzecie: kapitalizm przyniósł dramatyczne kryzysy gospodarcze wynikające z dysproporcji między masową produkcją a niemożnością konsumpcji przez spauperyzowane masy społeczne. Kryzysy nie zostały zażegnane w monopolistycznej fazie kapitalizmu i rodzą one ekspansję gospodarczą, a za nią polityczną, a więc imperializm i wojnę, nieodłączną dla tego ustroju; po czwarte: prywatna własność nie daje się pogodzić z koniecznym i pełnym, wobec stale wzrastających potrzeb społecznych, planowaniem gospodarczym.

W dalszym ciągu nastąpiła także zupełna kompromitacja koncepcji własności ograniczonej. Po pierwsze: koncepcja taka może być pomyślana jedynie w statycznym układzie ekonomicznym, natomiast w dynamice procesów ekonomicznych własność prywatna będzie bądź to kumulowała się, bądź też będzie wypierana przez proces pełnego uspołecznienia; po drugie: własność ograniczona, a więc koncepcja małych przedsiębiorstw jest sprzeczna z racjonalną gospodarką na większych obiektach, której domaga się życie, potrzeby konsumcyjne mas; po trzecie: tak zwane upowszechnienie własności drogą wykupywania udziałów przez robotników jest fikcją, gdyż wedle najlepszych obliczeń zwolenników tradycyjnej koncepcji katolicko-społecznej musiałoby trwać minimum 40 lat. Następnie upowszechnienie przez tak zw. „akcjonariat pracy" napotyka z punktu na zasadnicze pytanie, czy robotnicy mieliby prawo sprzedawać udziały. Jeśli tak, niewątpliwie musiałaby następować nowa kumulacja kapitału, jeśli nie — byłoby to zaprzeczeniem własności prywatnej; po czwarte: praktyka życiowa udowodniła, że — mimo rządów chrześcijańskiej demokracji — bądź to w ogóle nie dokonywano prób zrealizowania koncepcji ograniczeń własności, bądź też próby takie zawiodły w większej skali.

Wszystkie te argumenty prowadzą do nieuchronnego wniosku, że własność prywatna się skompromitowała. Niemniej z tradycyjnym stanowiskiem katolicko - społecznym trzeba jeszcze polemizować poza płaszczyzną ekonomiczną na wysuniętej przez niego płaszczyźnie wymogów personalizmu i prawa natury. Dotychczas w dyskusji postępowych i zachowawczych katolików następowało często niezrozumiałe wymijanie się argumentów. Kiedy jedna strona mówiła głównie o ekonomicznej nieprzydatności koncepcji ograniczonej własności środków produkcji, druga strona zasłaniała się rzekomą nienaruszalnością własności, na której straży stoi personalizm i wymogi prawa natury, a którą Kościół „kanonizował". Zanim przejdziemy do rozważania, jak się rzecz ma z ową nienaruszalnością doktrynalną własności, warto wspomnieć, że ekonomiczna kompromitacja koncepcji własności ograniczonej i własności prywatnej w ogóle, rzuca już światło na ową doktrynalną nienaruszalność. Doktryna katolicka nie głosi rzeczy stojących w oczywistej sprzeczności z życiem. Tylko dogmaty Kościoła są dla katolika negatywną normą w jego poszukiwaniach naukowych w każdej dziedzinie. Do rangi dogmatu zaś nie śmieliby podnosić własności nawet najzagorzalsi jej katoliccy zwolennicy.

5.

TERAZ wypada nam postawić sobie już bezpośrednio pytanie, czy personalizm katolicki i prawo natury w ujęciu katolickim koniecznie domaga się własności prywatnej. Personalizm mógł być źródłem oparcia dla własności tylko z punktu widzenia troski o wolność człowieka mającego doskonalić się i dążyć do Boga. Własność więc w tym ujęciu była potrzebna jako warunek wolności ludzkiej, ale nigdy nie stanowiła wartości samej w sobie. Skoro jednak własność prowadziła nie do wolności doskonalącej człowieka, ale stawała się źródłem jego wynaturzenia, wyzysku człowieka przez człowieka, walki ekonomicznej w ustroju kapitalistycznym, a korekta własności w tym ustroju przez jej ograniczenie, jest niemożliwa, przeto trzeba zabezpieczać wolność rozwoju jednostki, wolność doskonalenia się w innym ustroju, rezygnującym z własności prywatnej na rzecz społecznej. Dzieje ustroju kapitalistycznego udowodniły, że własność utrudnia tam a nie ułatwia doskonalenie się człowiekowi posiadającemu, dając zaś nieograniczoną wolność nielicznym jednostkom, przynosi niewolę i zaprzedanie większości. Dlatego własność w tym ustroju jest w gruncie rzeczy antypersonalistyczna. A stanowisko personalistyczne należy realizować w nowym ustroju socjalistycznym.

(Dokończenie na str. 4)

A. B. C. FASZYZMU

DZIAŁO się to lat temu osiem Wiosną roku 1946 trzech agentów amerykańskiej tajnej policji śledczej — osławionego Federal Bureau of Investigation (FBI) — doszło nagle do wniosku, że posada państwowa nie otwiera właściwie żadnych szerszych perspektyw na przyszłość i że jedynym polem do działania dla ludzi „z głową" jest królestwo nieograniczonych możliwości — prywatna inicjatywa. Doszedłszy do tej ważkiej konkluzji trzej obrotni dżentelmeni nie namyślali się zbytnio długo: podziękowali pewnego dnia za pracę w FBI i założyli prywatną firmę pod nazwą „American Business Consultants" („Doradcy Amerykańskiego Byznesu") — w efektownym skrócie: ABC. Po czym nie zwlekając przystąpili do wydawania własnego czasopisma. Był to tygodnik o dyskretnie ograniczonym obiegu, uzbrojony w wojowniczy tytuł „Counter-attack" („Kontr-atak").

Jakaż była branża firmy ABC i przeciw komu wymierzony był ów groźny kontr-atak?

Sprawa nie wymaga długich wyjaśnień. Oto za skromną opłatą 25 dolarów rocznie każdy amerykański byznesmen mógł w nieocenionej firmie ABC zasięgać systematycznie poufnych i jak najbardziej wiarogodnych informacji o... poglądach politycznych swoich pracowników. I demaskować ludzi o przekonaniach „wywrotowych", likwidując w ten sposób w zarodku zagnieżdżone w łonie przedsiębiorstwa „czerwone niebezpieczeństwo".

Niebawem okazało się, panowie Snuggers, Saxinar i Kennedy — takie bowiem nazwiska noszą bohaterowie niniejszego opowiadania — istotnie minęli się fatalnie z powołaniem marnując dotąd czas i talenty na nędznych, bezbarwnych posadkach w państwowej policji śledczej. Nowa firma okazała się przedsiębiorstwem o wiele zyskowniejszym. Zaczęła z miejsca prosperować znakomicie, a tygodnik „Counter-attack" był rozchwytywany w kołach ludzi zainteresowanych. Rozzuchwaleni powodzeniem zaczęli sobie „Doradcy Byznesu' poczynać coraz bezczelniej. Miarka przebrała się, gdy w czerwcu roku 1950 opublikowali oni pod wymownym tytułem „Red Channels" („Czerwone Kanały") listę przeszło 150 nazwisk ludzi ze świata radia, filmu i telewizji — znanych niejednokrotnie autorów scenariuszy, aktorów i reżyserów — w których wszechwiedząca firma ABC wykryła „kryptokomunizm".

Tak wielki okazał się autorytet wydawców „Counter-attack", że — liście tej uwierzono. „Kryptokomuniści" zaczęli jak z procy wylatywać z posad. Wokół całej afery wszczął się ogólnokrajowy hałas — tak, że wreszcie poczuła się do obowiązku interwencji Amerykańska Unia Praw Obywatelskich (American Civil Liberties Union). Specjalny delegat tej organizacji, niejaki mr Merle Miller, otrzymał polecenie zbadania sprawy. I tu właśnie zaczyna się najdziwniejsza część całej historii. Warto jej posłuchać!

Miller postanowił rzecz całą zbadać „od podszewki" — zaczął więc od poszukiwania ofiar firmy ABC, ludzi, którzy mieli „szczęście" znaleźć swe nazwiska na czerwonej tablicy proskrybcyjnej. Udało mu się istotnie z wieloma skomunikować; a to, co stwierdził, nie było właściwie niespodzianką. Pozbawieni pracy i — co gorsza — jakichkolwiek widoków na powrót do swego zawodu, szczuci przez policję i reakcyjną opinię publiczną", napiętnowani, niby, wilczym biletem, etykietką „komunisty" — ludzie ci znaleźli się, praktycznie biorąc, na bruku i byli już — w okresie, gdy z nimi zetknął się Miller — na progu kompletnej ruiny materialnej i nerwowej. System „antybolszewickiej" nagonki działał z nieubłaganą precyzją: kto raz wpadł w oka sieci — nie miał już prawie szans wyjścia. Nie to jednak było dla Millera głównym powodem do zaniepokojenia. Do naprawdę energicznej — bał paniczno — akcji przeciw firmie ABC pchnęło go dopiero inne, poczynione w trakcie tych badań odkrycie; odkrycie, które całej sprawie nadaje posmak zgoła osobliwy. Ale o tym potem. Śledźmy na razie dalsze perypetie delegata Unii Praw Obywatelskich w dżungli amerykańskiej „praworządności".

Otóż następnym krokiem przedsięwziętym przez Millera, była próba dotarcia do kierowników firmy ABC i wydawców „Counter-attack" — znanej nam już trójcy Snuggers, Saxinar, Kennedy. Udało mu się to nie od razu, trzej dżentelmeni potrafili się bowiem stać w niewygodnej dla siebie sytuacji doskonale nieuchwytni. Jednakże mr Miller działał już teraz — jak to powiedzieliśmy — ze zdwojoną energią i z rosnącym zdenerwowaniem. Toteż nie dał się łatwo „spławić" słodkimi słówkami zastępców i sekretarzy i wreszcie „audiencję" uzyskał.

Ale dzielny delegat Unii Praw Obywatelskich — licząc na to, że uda mu się szefom firmy ABC wyperswadować ich „doradczą" działalność — dał tylko dowód dużej naiwności. Czekało go przykre rozczarowanie. Zamiast spodziewanej „życzliwości" i „zrozumienia" znalazł pobłażliwe wzruszanie ramionami i nieustępliwy mur obojętnych, trochę ironicznych uśmieszków, pod koniec rozmowy zabarwionych z lekka irytacją i znudzeniem. Wszelkie apele o „fair play", o rzetelność i uczciwość (a o jaką to „uczciwość" w pracy firmy ABC Millerowi chodziło — zobaczmy za chwilę) odbijały się od tego muru, jak przysłowiowy groch od ściany. Czy można się temu dziwić? Pojęć takich, jak „fair play" nie zna słownik byznesu. A panowie Snuggers, Saxinar i Kennedy byli wszak rasowymi byznesmenami i wyznawali zupełnie swoisty, właciwy swej kaście kodeks etyczny. I trudno ich nawet za to winić: uczyniło ich przecież takimi ich własne społeczeństwo. Społeczeństwo, które od kolebki niemal uczy: Jedyną rzeczą, o którą w życiu naprawdę warto zabiegać, rzeczą będącą ostatecznie miarą wszystkich wartości — jest pieniądz; w pogoni za nim przesądy takie, jak „bezinteresowność" czy „uczciwość" — rupiecie wyciągnięte gdzieś z lamusa naszych prababek — nie są niczym innym, jak kulą u nogi na drodze do życiowego sukcesu; wygrywa zawsze i wszędzie ten, kto ma najwięcej wyrachowania i najmniej skrupułów; popłaca jedynie siła, spryt, brutalność, prawo pięści. Te wszystkie prawdy każdy z szefów firmy ABC wyssał — podobnie jak miliony jego ziomków — z mlekiem matki; i taką życiową filozofię moralnego nihilizmu miał zaszczepioną głęboko, we krwi. A codzienna, cogodzinna niemal, konkretna rzeczywistość prawd tych nie tylko nie dyskredytowała, lecz przeciwnie, utwierdzała ich wyznawcę coraz mocniej w przekonaniu, że przy istniejącej aktualnie organizacji społeczeństwa mają one walor bezsporny, absolutny, niezachwiany! Czy można tedy dziwić się, że rzeczy, o które do wydawców „Counter-attack" apelował Miller leżały po prostu poza zasięgiem ich pojęć?

Nie znamy dokładnie przebiegu rozmowy delegata Unii Praw Obywatelskich z trzema wiadomymi dżentelmenami. Być może, zakończyła się ona grzecznym „Sorry, we can't help you" („Przykro nam, ale nie możemy panu pomóc"). A może któryś z „szefów" okazał się człowiekiem bardziej gruboskórnym, może przypomniał sobie... styl pracy w FBI i — finał dysputy miał charakter mniej wersalski? Tak czy inaczej — ostateczną odpowiedzią którą Miller otrzymał, było stanowcze „NIE".

Delegat Unii Praw Obywatelskich nie dał się jednak zbić z tropu tym niepowodzeniem i nie zawahał się przenieść swej akcji na drogę prawną. Zwrócił się po prostu o interwencję do władz federalnych. Ale i tym posunięciem wykazał tylko kardynalny brak zrozumienia specyfiki otaczających go stosunków. Miller zapomniał, że żyje w przedziwnym systemie społecznym, który nazywa się „demokracją zachodnią"; w systemie, który szczyci się tym, że każdemu obywatelowi gwarantuje swobodę robienia i głoszenia „wszystkiego co mu się podoba" — pod warunkiem, aby ta swoboda nie stanęła w kolizji z prawem. A dowcip polegał na tym, że firma ABC działalnością swoją nie dawała na gruncie amerykańskiego prawodawstwa żadnych podstaw do interwencji władz... Nie zajmowała się ani handlem żywym towarem ani kontrabandą; nie maczała rąk w żadnych podejrzanych machinacjach walutowych, które by narażały skarb państwa na straty; nie uprawiała handlu narkotykami ani żadnym innym zakazanym artykułem; regularnie i uczciwie płaciła państwu podatki; jednym słowem — była najlegalniejszym pod słońcem, oficjalnie zarejestrowanym, solidnym przedsiębiorstwem, w równym stopniu chronionym przez „demokratyczne prawa", co pierwsza lepsza fabryka pończoch czy pasty do zębów. A że branżą tej firmy nie były przypadkowo ani pończochy ani pasta do zębów, lecz tropienie „ludzi o przekonaniach wywrotowych" — w to już demokratyczne prawodawstwo nie wnika. No, bo jakże: Nie ma wszak przepisu, który by zabraniał jakiemukolwiek obywatelowi, lub grupie obywateli wyrażać opinie o politycznych poglądach innych obywateli. Nie ma również przepisu, który by nie pozwalał pracodawcy na pozbawienie swego podwładnego pracy na podstawie tejże opinii. I nie ma przepisu, który by jakiegokolwiek innego pracodawcę zmuszał następnie do zaangażowania owego pozbawionego pracy człowieka w swoim przedsiębiorstwie... Jest to bowiem wszystko święta, nietykalna, nieprzekraczalna obwarowana tysiącem uroczystych i dumnych deklaracji sfera „wolności osobistej" — chluba, esencja i kamień węgielny każdego „prawdziwie" demokratycznego ustroju!..

I dlatego właśnie Miller — choć długo, z desperackim uporem, deptał po poczekalniach i gabinetach różnych kompetentnych instytucji nie wyłączając Generalnej Prokuratury — nic wskórać nie zdołał i raz jeszcze zakosztować musiał gorzkiego smaku porażki. Firma ABC triumfowała, a panowie Snuggers, Saxinar, Kennedy śmiali się w kułak z naiwności swego przeciwnika.

Pozostała tedy jedna jeszcze, ostatnia droga działania: apel do opinii publicznej. Do tego środka Miller się uciekł. Przy końcu roku 1952 ukazała się jego książka zatytułowana „The Judges and the Judged" („Sędziowie i sądzeni"). Wywleka ona bez żenady na światło dzienne kulisy całej sprawy firmy ABC — a jednocześnie stawia w nader osobliwym świetle rolę, jaką w całej aferze odegrał sam autor książki.

Okazuje się oto, że do minionej bezpowrotnie przeszłości należą już czasy, kiedy Amerykańska Unia Praw Obywatelskich czuła się powołana do występowania w obronie praw wszystkich Amerykanów, bez względu na ich takie czy inne przekonania. Dziś z tego okresu pozostały tylko strzępy pięknych wspomnień. Unia poszła z duchem czasu i idee swoje „zmodernizowała": oto jej oficjalny rzecznik, mr Merle Miller, nie ma — jak się okazuje z jego wynurzeń — absolutnie nic przeciwko temu, aby stosować nadal wszystkie modne ostatnio sankcje przeciw ludziom, którym udowodniono przekonania lewicowe. Podkreślamy: udowodniono. Rzecz bowiem w tym, że mr Miller ma poważne wątpliwości co do tego, czy w odniesieniu do umieszczonych na osławionej liście „Red Channels" osób ich komunistyczne zapatrywania stwierdzone zostały w sposób niezbity. Co więcej: mr Miller ma wręcz dowody na to, że w całym szeregu wypadków „diagnoza" została przez fachowców z firmy ABC postawiona zupełnie błędnie. W wyniku osobistych rozmów przeprowadzonych z owymi „krypto-komunistami" przekonał się on mianowicie, że znakomita ich większość — to ludzie nie mający w gruncie rzeczy nic wspólnego z prawdziwym, „wywrotowym" komunizmem, a częstokroć dalecy nawet od jakiejkolwiek, najłagodniej i „najstrawniej" pojętej lewicowości; ludzie których eksperci z ABC zakwalifikowali lekką ręką do wykiętego klanu „Reds" („Czerwonych"), a w odniesieniu do których — woła płaczliwie Miller — nawet przymiotnik „rose" (różowy) wyrażałby jeszcze barwę grubo za jaskrawą... Jeden z agentów firmy ABC wyznał nawet kiedyś Millerowi w nagłym przystępie szczerości, że jego zdaniem nie więcej niż 25 osób spośród owych 150 figurujących w „Red Channels" może być naprawdę podejrzanych o jakieś powiązania z komunistami; ale — dodał chytrze ów agent — to, że pozostali odżegnują się żarliwie od komunizmu, to nie jest żadnym dowodem ich „niewinności", bo wszak — cytujemy — „kłamstwo jest nieodłączną częścią komunistycznego credo".

Otóż stwierdzenie takiej właśnie przedziwnej techniki pracy badawczej stosowanej przez firmy ABC było zatrważającym odkryciem uczynionym przez Millera — i ono właśnie napełniło delegata Unii Praw Obywatelskich takim zdenerwowaniem, a zarazem taką energią. Rozumiemy też teraz doskonale, o co mu chodziło, gdy apelował do szefów ABC o „rzetelność", „fair play" i temu podobne rzeczy. Jego spór z firmą ABC to — mimo swej hałaśliwości — nic innego, jak tylko mała kłótnia rodzinna; jest to spór o kryteria rozpoznawcze, za których pomocą ustalać się powinno, czy ktoś jest komunistą, czy nim nie jest. Miller jest zdania, że kryteria zastosowane były niewystarczające, że robotę „odwalono" byle jak, niedbale, co w efekcie doprowadziło do „tragicznych pomyłek" — tzn. do oskarżenia o „tendencje wywrotowe" spokojnych, Bogu ducha winnych obywateli, którzy w gruncie rzeczy na dźwięk słów takich jak „marksizm" czy „rewolucja" reagują podobnie gęsią skórką, jak pierwszy lepszy burżuj, czy sam nawet — specjalnie przecież uczulony na wymienione terminy — gromowładny senator Mac Carthy. To właśnie — owo partactwo w robocie — stanowi dla Unii Praw Obywatelskich kamień obrazy. To — i tylko to. Sama natomiast zasada dyskryminowania ludzi ze względu na ich przekonania polityczne — wyznawana jest przez obie strony ze wzruszającą zgodnością. Miller zasady tej nie próbuje kwestionować, przeciwnie, podpisuje się pod nią oburącz. Nie pisnąłby ani słówka protestu, gdyby listę „Red Channels" sporządziła jakaś kompetentna, dysponująca odpowiednio sprawnym, „wysokiej jakości" aparatem śledczym, instrukcja państwowa: Prokuratura, FBI, czy choćby słynna Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Jako arcy-lojalny Amerykanin mr. Miller wyszedłby nawet osobiście z własnej skóry byle tylko czynnie dopomóc wymienionym władzom w wypalaniu „czerwonego wrzodu" rozżarzonym żelazem policyjnego terroru. Żywi tylko zastrzeżenia przeciw wykonywaniu tego rodzaju, skomplikowanych bądź co bądź, chirurgicznych zabiegów przez instytucje prywatne. I przeciwko temu tylko zakłada swoje mdłe „veto".

Gdzie tkwi prawdziwa, ukryta sprężyna całej akcji Millera przeciw firmie ABC? I skąd całe to wiejące spomiędzy wierszy jego książki zdenerwowanie? Warto się nad tym krótko zastanowić, bo rzecz nie jest trudna do rozszyfrowania — a rzuci ona jeden jeszcze snop światła na ów przerażający swą zgnilizną, nasycony histerią i paranoidalnymi psychozami, jakiś bagienny wręcz klimat duchowy, jaki w Stanach stworzył — i tworzy nadal — zbudowany tam system.

Proceder uprawiany przez firmę ABC należy do rzędu intratnych. Ale co będzie — rodzi się w umyśle mr Millera natrętne pytanie — co będzie gdy pewnego dnia koniunktura się załamie, gdy wydawcom „Counter-attack" zbraknie po prostu materiału, w postaci ludzi „podejrzanych o komunizm"? Wówczas firmie zajrzy w oczy widmo kryzysu: w złotym strumieniu dolarów, płynącym dotąd nieprzerwanie do kas pancernych szefów, wystąpią objawy wysychania źródła. A nie ma chyba pod kapitalistycznym słońcem byznesmena, któremu by taka perspektywa nie spędzała snu z oczu i której by wszelkimi dostępnymi mu środkami nie usiłował odsunąć jak najdalej w przyszłość. I oto mr Miller obawia się, że owego „pewnego dnia" — gdy okaże się że nie ma już akurat pod ręką nikogo takiego, kogo by można z jakim takim uzasadnieniem okrzyczeć komunistą — wydawcy „Counter-attack" zaczną chrzcić tym mianem „kogo popadnie", na chybił trafił, nie wyłączając nawet ludzi w rodzaju mr Millera. I oto doszliśmy do sedna rzeczy — oto mamy ów ukryty motor kierujący całą akcją Unii przeciw firmie ABC: motorem tym jest strach. Strach przed tym, że puszczona raz w ruch opętańcza machina totalitarnej dyktatury wymknie się kiedyś kontroli obsługujących ją ludzi i zacznie wysysać ze swe miażdżące tryby wszystko dookoła — nie wyłączając własnych budowniczych. Historia każdego ustroju faszystowskiego obfituje w podobne przykłady ideowego kanibalizmu I nie jest wykluczone, że dnia pewnego sam mr Miller — ku swemu przerażonemu osłupieniu — wyczyta na którejś tam z kolei liście w „Counter-attack" własne nazwisko; zresztą zakres pojęcia „komunista" rozdęto w USA do tak karykaturalnych rozmiarów, że wewnątrz tego zaklętego kręgu jest miejsce dla mr Millera już dzisiaj... Zwłaszcza, że zalał on, bądź co bądź, firmie ABC nieco sadła za skórę i może obawiać się zemsty. Nie dziwimy się, że wizja taka jest w stanie przyprawić zacnego delegata Unii Praw Obywatelskich o tęgie drżenie łydek: znany mu jest wszak aż nadto dobrze los ludzi, którzy już wpadli w szpony agentów ABC. A los ich następców — mamy się prawo tego spodziewać — będzie jeszcze gorszy. Bo faszyzm amerykański powiedział dopiero... swoje „ABC" — nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Tadeusz Bielicki

Notatnik polityczny

Przed konferencją genewską

WIELKIM sukcesem obozu pokoju na konferencji berlińskiej było przeforsowanie uchwały o zwołaniu w Genewie konferencji pięciu mocarstw (z udziałem Chińskiej Republiki Ludowej) w celu przedyskutowania problemów zapewnienia pokoju w Korei i w Indochinach. Pośrednim dowodem tego jest wyraźne niezadowolenie z tej decyzji agresywnych kół imperializmu amerykańskiego, co znalazło wyraz w różnych kampaniach propagandowych usiłujących bądź zdeprecjonować zapowiedzianą konferencję, bądź przedstawiać w tendencyjno - fałszywym świetle jej rolę i znaczenie. Tak na przykład niektórzy politycy amerykańscy starają się twierdzić, iż Związek Radziecki tylko pod przymusem zgodził się na tę konferencję, gdyż jest ona rzekomo sprzeczna z postulatem radzieckim o konferencji pięciu mocarstw, lub też wywodzą, iż konferencja genewska będzie tylko wprowadzeniem w życie postanowień umowy o rozejmie w Korei, który przewidywał zebranie się narady politycznej w sprawie zjednoczenia Korei.

Wszystkie te kłamliwe insynuacje zostały napiętnowane w oficjalnych komunikatach radzieckich ogłoszonych na łamach prasy moskiewskiej. Podkreśliły one z całym naciskiem, że to właśnie Związek Radziecki domagał się stale zwołania konferencji pięciu mocarstw, a mająca się zebrać w Genewie konferencja jest właśnie taką o jaką chodziło, gdyż poza sprawami Korei rozpatrzy ona również problem zaprzestania wojny w Indochinach, a więc zagadnienia bezpieczeństwa i pokoju w całej Azji.

Takie tendencyjne przedstawianie tej sprawy przez przeciwników odprężenia międzynarodowego ma na celu nie tylko ukrycie sukcesu pokojowej polityki radzieckiej, ale i odwrócenie uwagi od własnych intryg zmierzających do udaremnienia pokoju w Azji. Nie jest rzeczą przypadku, że natychmiast po zapowiedzeniu zebrania się konferencji genewskiej południowo - koreańska marionetka amerykańska — Li-Syn-Man — zastrzegł się z góry, że nie uzna uchwał konferencji, które nie będą oznaczały oddania mu całej Korei Północnej, i wszczął krzykliwą kampanię na rzecz zwołania w Seulu konferencji państw rejonu Oceanu Spokojnego, która ma doprowadzić do stworzenia nowego antyradzieckiego „Paktu Pacyfiku". Znalazł oddźwięk tylko w zgranej klice Czang-Kai-Szeka i w antynarodowym rządzie Bao-Daia w Indochinach, gdyż nawet tak uzależnione od Amerykanów Filipiny odmówiły udziału w tych projektach. Nie ulega wątpliwości, że imperialiści amerykańscy chcieli potraktować konferencję w Seulu jako przeciwwagę konferencji genewskiej.

Również w Indochinach reakcyjne koła amerykańskie starają się przeszkodzić zaprzestaniu działań wojennych. Coraz szersze warstwy opinii francuskiej domagają się podjęcia pokojowej inicjatywy prezydenta Ho-Szi-Mina i zaprzestania przynoszącej same klęski wojny kolonialnej we Wietnamie. Pod naciskiem amerykańskim rząd Laniela postawił zupełnie absurdalne i niemożliwe do przyjęcia warunki wstępne do zawieszenia broni. Jednak, widząc, że nawet prawicowy rząd francuski szuka tylko okazji do położenia kresu kosztownej i beznadziejnej wojnie w Indochinach — koła rządowe Stanów Zjednoczonych coraz głośniej ostatnio mówią o przejęciu tej wojny na swój rachunek i wysłaniu do Indochin amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego.

Te wszystkie działania imperialistów amerykańskich wskazują, że zadania stojące przed konferencją genewską będą bardzo trudne do rozwiązania. Wszelki pesymizm czy optymizm w stosunku do jej wyników byłby przedwczesny; ważny jest fakt, że konferencja pięciu mocarstw z udziałem innych zainteresowanych państw jednak się zbiera pomimo wyraźnej niechęci przeciwników pokojowego załatwienia problemów azjatyckich. O znalezienie słusznego, pokojowego rozwiązania walczyć będzie Związek Radziecki. Ogromny również wpływ na obrady genewskie wywierać będzie zdecydowana postawa opinii publicznej świata, która domaga się coraz natarczywiej wyraźnych czynów w kierunku osłabienia napięcia w sytuacji międzynarodowej. Jeżeli nawet konferencja genewska nie da bezpośrednich, konkretnych rezultatów, to będzie ona w każdym razie dalszym krokiem w kierunku szukania dróg pokojowego rozwiązywania problemów światowych.

ŁJ. d.

ZDZISŁAW UMIŃSKI

DOMY NAD NARWIĄ

ABY dostać się, a właściwie dobrnąć do spółdzielni produkcyjnej w Podleśnem trzeba — od stacji w Szepietowie — przejść błotnistym gościńcem dobre pięć kilometrów. Ponieważ jest zimno i wieje wiatr — chcąc rozgrzać się — niezwłocznie ruszam w drogę szybkim marszem.

— Musi pan dojść najpierw do wsi Wawrzyńce, potem skręcić na prawo, a następnie od IUNG'u na lewo i już blisko, w kotlince przy lesie, chałupy spółdzielcze — informuje mnie napotkany przypadkowo milicjant.

Po czterdziestu minutach dostrzegam pierwsze zabudowania w Wawrzyńcach. Schludne, czyste domy i obejścia znamionują dostatek i dobrobyt. Przez wieś biegnie linia elektryczna.

Tuż za wsią kompleks murowanych budynków. Okazuje się, że to Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, w skrócie zwany IUNG.

Spółdzielnia w Podleśnem, mając pod bokiem takiego sąsiada na pewno uzyskuje dobre wyniki produkcyjne — myślę, mijając ostatni budynek IUNG'u.

Od drewnianego krzyża na wzgórku droga zaczyna schodzić w dół. Widzę przed sobą wieś... Małe drewniane, pokryte słomą chaty przycupnęły do ziemi. Jedna z nich wtuliła się między cztery białe brzozy, jak gdyby szukała opieki przed silniejszym podmuchem wiatru. Tylko na końcu wsi, pod samym lasem, widać większy pokryty blachą budynek.

Wiatr ucichł. Promienie porannego słońca kładą się na polach i domach. Dach z białej blachy iskrzy się w słonecznym blasku. Stwarza to dziwny kontrast z pokrytymi sczerniałą słomą i mchem chałupami.

Czyżby to była wieś spółdzielcza? — zastanawiam się.

W przekonaniu tym utwierdza mnie napotkana staruszka. Idę więc, nieco rozczarowany, w kierunku wskazanej mi chaty, w której — jakoby — mieszka przewodniczący spółdzielni.

Okazuje się, że wyjechał w pole dopilnować siewu jarej pszenicy. Jeden z członków spółdzielni prowadzi więc mnie do księgowego, który znajduje się w tej chwili w stodole.

Księgowego, Feliksa Wiśniewskiego, zastaję przy pracy nad... przykrawaniem kawałków szkła do inspektowych ram okiennych. Zręcznie kroi diamentem małe szybki i natychmiast przybija je przy pomocy gwoździków do listewek.

Przedstawiam się. Za chwilę nawiązujemy niemal przyjacielską pogawędkę. Wiśniewski cieszy się, że przyjechał ktoś z prasy; sam zresztą jest korespondentem „Gazety Białostockiej".

— Spółdzielnia powstała wiosną ubiegłego roku. Założyli ją parcelanci części dawnego majątku. Przed wojną ciężko pracowali na kawałek chleba jako parobcy dworscy. Po wojnie — dzięki reformie rolnej — dostali po dwa, trzy hektary. Trudno jednak było gospodarować samemu na niewielkim kawałku ziemi, bez maszyn a często nawet bez konia. Postanowili więc założyć spółdzielnię. Szesnaście rodzin przystąpiło rok temu do pierwszego wspólnego siewu. Niewiele jednak zdziałano dotychczas — przyznaje Wiśniewski. Dniówka obrachunkowa wyniosła tylko 5,5 kg zboża. Wprawdzie ozimina była zbierana jeszcze indywidualnie, nie jest to jednak dostatecznym usprawiedliwieniem zbyt niskiego dochodu jaki wygospodarowano w ciągu roku.

Wiśniewski nie stara się „wybielić" spółdzielni. Przeciwnie, ukazuje przedociągnięcia, jakkolwiek uwzględnia również obiektywne warunki, w jakich musiała spółdzielnia gospodarować.

— Mamy zaledwie trzy maciory i kilka prosiąt, krów dwanaście. Zresztą — czyż można było rozwinąć hodowlę, jeżeli zbiory zbóż i upraw były niskie. Tak na przykład żyta zebrano tylko 9 q a pszenicy 10,5 q z hektara. Wreszcie nie tylko niskie zbiory — kontynuuje księgowy — wpłynęły na obecny stan gospodarczy spółdzielni.

— ?

— Przede wszystkim brak wiary we własne siły u niektórych spółdzielców. Słabsi załamywali się przy pierwszych trudnościach. Nie potrafili zrozumieć, że pierwszy okres jest najcięższy. Nie chcieli zgodzić się z decyzją zarządu, że, aby spółdzielnia mogła się rozwinąć, trzeba przede wszystkim dokonać niezbędnych inwestycji. Większość jednak była za tym aby budować. Niemało też pieniędzy wydaliśmy na odbudowę obory i chlewu. Była to nasza pierwsza inwestycja.

— Szkoda, że z hodowlą u was tak słabo.

— No cóż, mieliśmy tyle wydatków, że nie starczyło już na zakup trzody i bydła. A poza tym ten i ów nim wstąpił do spółdzielni, dał posłuch podszeptom okolicznych kułaków i bił świnie na mięso, żeby przetrwać „biedę spółdzielczą". Nie potrafił zrozumieć, że właśnie — wskutek takiego postępowania osłabiając spółdzielnię — przede wszystkim osłabia siebie samego. Jak spółdzielnia mogła uzyskać dobrobyt w ciągu zaledwie jednego roku, kiedy powstała niemal bez żywego inwentarza? Tylko tych parę naruszonych przez czas chałup i około 100 ha ziemi ornej stanowiło zaczątek naszej pracy.

— A czy w tym roku otrzymaliście kredyty na zakup zwierząt hodowlanych?

— Wprawdzie niewiele, ale dostaliśmy. Dziś właśnie jedzie przewodniczący do Dąbrówki po zakup paru macior.

— No to jednak, choć powoli, idziecie naprzód. W zeszłym roku obora, dziś zwiększacie hodowlę...

Wiśniewski przerywa mi: „Wiele jeszcze trudu trzeba będzie ponieść, ale nie damy się. Są przecież spółdzielnie w kraju — sam je zwiedzałem — które uzyskują wyniki, o jakich nie śniło się nigdy gospodarzom indywidualnym".

Niespodziewanie Wiśniewski zaczyna snuć plany na przyszłość. Mówi, że spółdzielnia powinna nastawić się na produkcję warzywniczo - hodowlaną. On sam zobowiązał się wykonać sto okien inspektowych. Pracuje chętnie w wolnych chwilach. Obecnie kończy już robotę. Dochód z inspektów zacznie wpływać dopiero w roku przyszłym. Trzeba również założyć dwuhektarowy sad. No i oczywiście znacznie rozwinąć hodowlę. Do tego czasu trzeba będzie przetrwać. Wielu członków — z przewodniczącym Marcelakiem na czele — pracuje przy siewach od świtu do zmierzchu. Dużo otuchy dodała im pomoc IUNG'u. Dostali siewnik, udzielono im porad agrotechnicznych. Chcieliby tylko, żeby PRN w Wysokim Mazowieckiem wykazała więcej zainteresowania ich walką o lepsze życie.

Tak, PRN powinna wykazać więcej troski o tę borykającą się z ogromnymi trudnościami spółdzielnię, tym bardziej, że jest ona niemal ze wszystkich stron otoczona przez wsie o znacznym odsetku gospodarstw kułackich. Władze terenowe powinny zrewidować sprawę kredytów na zakup hodowli. Państwo Ludowe zapewnia przecież pomoc kredytową w tym zakresie. Jest zjawiskiem conajmniej zastanawiającym, że po roku istnienia spółdzielnia ta tak bardzo pozostaje w tyle w dziedzinie hodowli. Trzeba wreszcie dopomóc spółdzielni w zelektryfikowaniu wsi. Przecież w sąsiednich, odległych zaledwie o kilometr Wawrzyńcach jest elektryczność! Również IUNG powinien otoczyć spółdzielnię jak największą opieką; powinien w całej rozciągłości spełniać swój obowiązek polityczno - gospodarczy.

Ludzi ze spółdzielni w Szepietowo-Podleśnem nie można pozostawić ich własnemu losowi! Trzeba dopomóc entuzjaście Wiśniewskiemu i innym, którzy pomimo ciężkiej sytuacji spółdzielni, są ludźmi pełnymi zapału i wiary. Trzeba, aby ich projekty założenia inspektów, sadu i rozwoju hodowli zostały zrealizowane jak najszybciej...

Bo jeżeli nie nastąpi poprawa, wówczas spółdzielnia może wyrządzić szkodę również i okolicznemu pracującemu chłopstwu — stając się złym wzorem spółdzielczości produkcyjnej. Wówczas w pełni byłoby uzasadnione zdanie, że „do takiej spółdzielni to nie ma po co wstępować" — jak powiedział gospodarz z pobliskiej Dąbrówki, który odwoził mnie furką na stację.

*

CZEREWKI, w powiecie białostockim, leżą na niewielkim wzniesieniu w pobliżu Narwi. Wieś jest rozległa; ciągnie się na przestrzeni półtora kilometra: od małej drewnianej cerkiewki, tuż przy mokradłach, aż po nowoczesny magazyn zbożowy, wybudowany w zeszłym roku przez spółdzielców.

Przyznam się, że do Czerewek szedłem z pewną obawą. Wieś położona daleko od centrum powiatu, najbliższa linia kolejowa o kilka kilometrów, szosa jeszcze dalej... Chyba nie lepiej tu, niż w Podleśnem — myślałem.

Okazało się jednak, że moje przypuszczenie było zupełnie błędne.

Spółdzielnia produkcyjna w Czerewkach osiągnęła już nie byle jakie sukcesy. Dziś liczy ona 26 członków, podczas gdy w roku jej założenia, to jest w 1950, liczba zrzeszonych gospodarzy wynosiła zaledwie dziesięciu. Dziś mniej więcej połowa gospodarstw we wsi jest już uspołeczniona. Z każdym rokiem przybywają nowi członkowie. Spółdzielnia stała się magnesem, który przyciąga do siebie.

Na przykład w roku 1953 do spółdzielni przystąpiło dziewięciu gospodarzy. Z każdym rokiem spółdzielnia powiększała również swój areał uprawny, pastwiska i łąki. Obecnie gospodaruje na 135 ha ziemi ornej i 85 ha łąk i pastwisk. Jeśli chodzi o plony — zważywszy, że ziemia w okolicy jest raczej żytnio-kartoflana — były stosunkowo dobre, a w każdym razie dużo większe od uzyskiwanych w gospodarstwach indywidualnych. I tak na przykład w spółdzielni uzyskano w ub. roku 18 q żyta z ha, podczas gdy gospodarze indywidualni zbierali około 11 q. Znaczny postęp uzyskano również w zakresie hodowli. Obecnie trzody chlewnej jest 85 sztuk, 19 krów, 5 cieląt i 3 jałówki. Jak bardzo znaczny nastąpił rozwój hodowli w Czerewkach — niech świadczy fakt, że dwa lata temu było tylko 30 świń a krów — 12.

O tych osiągnięciach produkcyjnych informuje mnie przewodniczący spółdzielni — Łukasz Gawryluk.

Z kolei pytam go o sprawy bytowe. Ciekaw jestem, czy i na tym odcinku, nie zawsze docenianym przez zarządy niektórych spółdzielni, osiągnięto pozytywne rezultaty. Okazuje się, że tak!

Przede wszystkim — mówi Gawryluk — trzeba było dokonać inwestycji gospodarczych. U nas każdy to rozumiał i wszyscy jednogłośnie zatwierdzili projekt w sprawie budowy pomieszczeń dla inwentarza. Dziś, dzięki własnemu wysiłkowi i pomocy kredytowej ze strony państwa, postawiliśmy magazyn zbożowy, wzorową murowaną chlewnię, stajnię, oborę i młynek elektryczny. Cała wieś została zelektryfikowana.

— A to chyba można zaliczyć do spraw bytowych — dodaje przewodniczący po chwili.

— No tak, ale... — usiłuję mu przerwać.

Lecz Gawryluk z coraz większym zapałem mówi dalej: „My, członkowie spółdzielni, stawiamy w naszej wsi domy murowane. Jeszcze w tym roku powstanie kilka takich domów. Można było zacząć wcześniej, ale ludzie u nas do niedawna myśleli jeszcze często po staroświecku. Wielu z nich mówiło: „Kiedy to nad Narwią stały murowane domy, nawet cerkwie są przeważnie drewniane?" Niedługo jednak trwało to wahanie. „Jak przeprowadziliśmy elektryczność i pobudowaliśmy z cegły zabudowania gospodarskie — ludziom zachciało się murowanych domów. Wszyscy zaczęli składać podania. Trzeba było uwzględniać je po kolei".

Po chwili milczenia przewodniczący dodaje: „Murowane domy to chyba również sprawy bytowe".

— A biblioteka, świetlica, boisko sportowe? — zapytuję pośpiesznie.

— Korzystamy z gromadzkiej biblioteki. Ludzie dużo czytają. Nie ma zimą wieczoru, żebym ja sam nie wziął do ręki książki. Świetlica u nas również czynna. Boisko sportowe, ot, jest kawał pola koło szkoły. Co niedziele młodzież gra w siatkówkę i koszykówkę. Czasami urządzają biegi.

Kończąc rozmowę z Gawrylukiem proszę go jeszcze aby zechciał pokazać mi wnętrza zabudowań gospodarskich.

— Muszę iść już na zebranie gromadzkie — mówi przewodniczący spoglądając na zegarek — ale jeżeli pan zechce — stary Oksięciuk może zaprowadzić.

Za chwilę przychodzi Wasyl Oksięciuk. Mimo, że ma już sześćdziesiątkę na karku, wygląda jeszcze krzepko. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

Ruszamy. Po drodze dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy. Oksięciuk opowiada mi, jak to chłopi z okolicznych wsi coraz bardziej interesują się spółdzielnią. Początkowo nie wierzyli, że we wspólnym gospodarstwie można osiągnąć dobrobyt. Gdy jednak dowiedzieli się, jakie uzyskuje się tu plony, gdy zobaczyli nowe zabudowania i gdy wreszcie przekonali się, że spółdzielcy ubierają się i jedzą lepiej niż dawniej — zaczęli coraz chętniej przyjeżdżać do Czerewek niby to do znajomych, a właściwie po to, aby „się przewiedzieć".

Wchodzimy do murowanej chlewni. Podłoga wycementowana, w kojcach świeża podściółka ze słomy, po obu stronach ścieki. Czysto tu prawie jak w domu mieszkalnym; drewniane przegrody pobielone, ściany i sufit tynkowane. Nie gorzej prezentuje się stajnia. Również i w oborze panuje wzorowy porządek. Wszędzie czysto. Widać tu rękę dobrego gospodarza, który potrafi rzetelnie pracować i dbać o swoje. Następnie idziemy do magazynu. W poszczególnych przegrodach znajduje się zboże: żyto, pszenica, jęczmień i owies oraz różne kasze. Nie grozi tu zbożu ani zaparzenie, ani zgnicie. Doskonała wentylacja całkowicie zabezpiecza odpowiednie jego przechowanie.

Największą jednak dumą Oksięciuka jest elektryczny młynek. — Przyjeżdżają do nas z okolicznych wiosek — mówi — bo mielemy tanio, dobrze i szybko.

— Dziwią się pewnie, że w ciągu zaledwie paru lat dokonaliście tylu wspaniałych rzeczy.

— Tak, tamci dziwią się jeszcze, ale indywidualni z naszej wsi już dawno przestali się dziwić, zrozumieli bowiem co daje spółdzielnia. Co tu dużo gadać, widzą przecież, że u nas jest elektryczność, porządne zabudowania gospodarskie, a teraz te domy murowane. Co tu zresztą dużo gadać — powtarza Oksięciuk wymachując ręką — ludzi same słowa nie przekonają.

Idziemy z powrotem do wsi. Nagle Oksięciuk zatrzymuje się. Teraz dopiero — mówi — gdy jedzenia poddostatkiem, człowiek widzi to co przedtem było zakryte. Przed wojną myślało się tylko o kawałku czarnego chleba. Tak, czarnego. U kogo to był pszenny pierog? Dziś myśli się o domu murowanym, o szkole dla dzieci.

Bryczką odwieziono mnie do odległych o dziewięć kilometrów Zimnochów — małej stacyjki w lesie. Był już późny wieczór, zacinał drobny, wiosenny deszczyk. Pociąg miał odejść dopiero za pół godziny. Nim wszedłem do pustej budki stacyjnej, aby skryć się przed zimnem, z daleka dosłyszałem jeszcze pokrzykiwania woźnicy z Czerewek wracającego do swojej wsi, w której dziś jest już elektryczność a jutro... Co tu mówić o jutrze, kiedy wiele nawet najśmielszych marzeń realizowanych jest jeszcze dzisiaj.

MARIAN WYPYCH

„PATRON POLAKÓW W NIEMCZECH"

(W 15 rocznicę śmierci ks. Bolesława Domańskiego)

Ks. Bolesław Domański

W dniu 21 kwietnia 1939 roku *„śmierć nieubłaganym swym prawem przecięła żywot Przewodnika Ludu Polskiego w Rzeszy Niemieckiej, Najprzewielebniejszego Księdza Patrona Dr Bolesława Domańskiego, Prezesa Związku Polaków w Niemczech. ...Wiódł nas do Boga i rozpalał w miłości do Narodu. Całym swoim chwalebnym życiem dawał nam przykład walki dla wielkości Narodu Polskiego, jako przewodnik nasz najwierniejszy i najukochańszy. Przeżył 67 lat wypełnionych bez przerwy i do reszty zbożną pracą. Owoce tej pracy i miłości, która nierozerwalnie wiązała się z „naszym Księdzem Patronem" — jak zwykliśmy Go nazywać — przedłużają chwalebny żywot ś. p Księdza Patrona z Zakrzewa i Przewodnika wszystkiego Polactwa w Rzeszy w lata czekającej nas walki i wieść będą do wygranej..."*

Ażeby zrozumieć wielkość oddania hołdu osobie, która w szerokich kołach naszego społeczeństwa jest prawie nieznana, ażeby ocenić sens wspomnień o tym niepozornym człowieku, który przeszedł dobrze przez życie, który potrafił zapalić najwyższy płomień umiłowania spraw narodowych — trzeba poznać miejsce, czas i warunki, w jakich wypadło mu przeżyć 67 lat pełnych wyrzeczeń, trudu w jakim wypadło mu rzucić przeżywane lata na szalę w imię idei przyświecającej biskupom i kapłanom — społecznikom i wielkim patriotom.

Zdając sobie sprawę, że w ramach artykułu tematu na pewno nie wyczerpię, ani dostatecznie naświetlę — chciałbym tylko po prostu przypomnieć postać człowieka, który nosił miano Patrona Polaków w Niemczech, chciałbym zwrócić uwagę na pewne fakty tym, którzy przyszli i przyjdą na Ziemie Zachodnie.

*

Ks. dr B. Domański zdawał sobie sprawę, że germanizacja znajdowała pole do popisu tam, gdzie ludność polska nie posiadała opieki gospodarczej i religijnej, wiedział również, jakie są składniki siły narodowo - politycznej, a mianowicie: stopień oświecenia szerokich mas ludowych, prężność ekonomiczna i uświadomienie narodowe. Z tym ostatnim wiąże się sprawa znajomości języka ojczystego. W „Polaku w Niemczech", nr 5-6/38, czytamy: *„jedynym zewnętrznym znamieniem przynależności narodowej okazuje się być zatem język. Uzasadnia on zupełnie niezawiśle od zmiennych politycznych nastawień obiektywną wspólnotę kulturalną"*. Zdanie to dotyczyło przynależności narodowej w niemieckich spisach ludności, które wykorzystywano do cyfrowego wykazywania zmniejszającej się liczby Polaków, a tym samym — do wykazywania światu „jedności krwi" narodu niemieckiego i „prawowitej" przynależności ziem do Rzeszy — z jednej, a demobilizacji ruchu narodowego Polaków — z drugiej strony.

Wnioski postawione wyżej wysnute są z warunków w jakich był prowadzony całokształt pracy przez ks. Domańskiego.

Urodzony w Kiełpiu w pow. chełmińskim, wychowany w domu o żywych tradycjach walk o polskość — uczęszczał do Gimnazjum Biskupiego „Collegium Marianum", a następnie do Seminarium Duchownego w Pelplinie. W Monasterze uzyskuje doktorat filozofii i z najwyższą pochwałą „summa cum laude" promocję ukończenia studiów. Święcenia kapłańskie otrzymuje 9 marca 1895 r., po czym zostaje profesorem Seminarium Duchownego w Pelplinie, a następnie przeniesiony do Złotowa. (obecnie woj. koszalińskie). Rozpoczyna swoją działalność od roztoczenia opieki religijnej nad ludnością polską. Jednak władze niemieckie uważając, że jest zbyt niebezpieczny, usuwają go z miasta powiatowego o bogatych tradycjach polskich. Dlatego to w r. 1903 przenosi się do Zakrzewa, gdzie obejmuje parafię jako proboszcz. Od tego czasu rozpoczyna się jego długoletnia, wytężona praca.

W powiecie złotowskim było czterech księży Polaków, ale najbardziej znienawidzony przez Niemców — był ks. Domański. W sprawozdaniu regencji pilskiej z 28 maja 1938 r. czytamy: *„znowu wyraźnie się okazało, jak olbrzymim znaczeniem i wielkim poważaniem cieszy się w kołach swoich zwolenników prob. dr Domański, jako przywódca Zw. Polaków Osoba jego personifikuje w ich oczach jedność z Kościołem Katolickim i wielką rolę, jaką odgrywa Kościół w walce narodowej"*.

Nie należy się dziwić, że takie itp. wypowiedzi można spotkać na każdym kroku, postawa bowiem ks. Domańskiego dla tych, którzy zabraniali używać szat liturgicznych w zestawieniu biało - czerwonym (zestawieniu zresztą przypadkowym — białe komże i czerwone pelerynki u ministrantów), nie mówiąc już o modlitwach i pieśniach, czy nabożeństwach w języku polskim, była wrogą interesom narodu niemieckiego. Solą w oku była świątynia zakrzewska bez jednego napisu w języku niemieckim, z dobudowaną kaplicą polską. Odbywająca się — mimo zakazów — katechizacja dzieci w języku polskim dała początek oświecaniu szerokich mas ludowych polskich i budzeniu świadomości narodowej.

Wiedziały władze administracyjne, wiedziała również niemiecka partia katolicka „Centrum", że słowa, i działalność księdza-Polaka, a szczególnie ks. Domańskiego ma cel jeden i cel ten osiąga. I nic w tym dziwnego, że jako pierwszy w planie zneutralizowania oddziaływania duchownych polskich postawiony został ks. Domański. Przysłano mu „do pomocy" ks. Mehrsmanna, zwanego przez czynniki niemieckie „reprezentantem interesów niemieckich", który za wszelką cenę miał zlikwidować, a co najmniej umniejszyć wpływ proboszcza na społeczeństwo polskie.

*

WPRAWDZIE walka o byt gospodarczy rozgrywała się głównie na czterech płaszczyznach: o prawo do ziemi, o prawo do handlu i rzemiosła, o prawo do pracy

(Dokończenie na str. 4)

Kościół w Zakrzewie

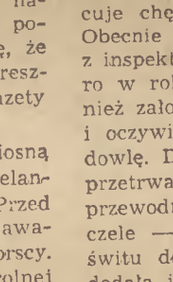

Ks. Eugeniusz Dąbrowski
PROLEGOMENA
DO NOWEGO TESTAMENTU
cena zł 20. —

Th. Deman O. P.
CHRYSTUS PAN I SOKRATES
cena zł 30.—

Św. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
trzy tomy po zł 25.—

Etienne Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI
ŚW. AUGUSTYNA
oprawa kartonowa zł 45.—
opraca płócienna zł 81.—

Św. Hieronim
LISTY
Przekład ks. J. Czuja
dwa tomy po zł 34.—

Blaise Pascal
MYŚLI
oprawa kartonowa cena zł 32.—
oprawa płócienna ze złoceniami
cena zł 65.—

Tadeusz Silnicki
BISKUP NANKER
cena zł 20. —

Tadeusz Silnicki
DZIEJE I USTRÓJ KOŚCIOŁA
KATOLICKIEGO NA ŚLĄSKU
DO KOŃCA W. XIV
cena zł 32.—

Stefania Skwarczyńska
WSTĘP
DO NAUKI O LITERATURZE
tom I cena zł 45.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZEBRANE
cena zł 25.—

Jerzy Liebert
POEZJE ZEBRANE
cena zł 25.—

Mikołaj Rostworowski
PRZECIW NOCY
cena zł 12.—

Mateusz Żurawiec
WIEC W ŚRODKU CZŁOWIEKA
cena zł 10.—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
cena zł 15.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX" Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO. W-wa I-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki. Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

PROBLEM WŁASNOŚCI

(Dokończenie ze str. 2)

Niewątpliwie pojęcie natury, a w szczególności natury ludzkiej tkwi u podstaw religii katolickiej. Naturę ludzką można określić, jako pewien zespół dyspozycji koniecznych dla człowieka. Oczywiście określenie to nie przesądza problemu zakresu cech koniecznych dla człowieka, składników jego natury.

Pojęcie natury łączy się ściśle z pojęciem prawa natury. Tutaj także najistotniejszy jest dla naszych rozwiązań zakres tych praw. Zarówno natura, jak i prawo natury, na którym opiera się porządek moralny, jest stałe i niezmienne. W związku z tym zakres prawa natury musi być ograniczony do niezmiennych cech natury człowieka.

Czy więc własność prywatna rzeczywiście wynika z praw natury? Wnioski wypływające z natury w koncepcji katolickiej, według dotychczasowych sformułowań rozwijanych przede wszystkim na podstawie tez św. Tomasza z Akwinu, sprowadzają się do tego, że rozróżniamy prawa pierwsze, wypływające z natury i wtórne, dedukowane przez ludzi z tych pierwszych. Nienaruszalne są prawa pierwotne, wnioski pochodzące od nich są pozostawione przemyślności ludzkiej.

Pisze na ten temat O. Sertillange: *„Prawo do własności nie należy do tych praw pierwotnych, których nie wolno tknąć, bo są jakby wyrazem natury, w jej składzie początkowym. Prawo własności nie jest prawem wypływającym z natury, ale jest zarządzeniem rozumu: zarządzenie to jest może konieczne, lecz konieczność ta zależy od warunków ogólnych, które zmieniają się po pewnych wydarzeniach do tego stopnia, że nie ma tu w prawie własności nic niezmiennego ani nienaruszalnego“.*

6.

TAK więc prawo prywatnej własności środków produkcji nie stanowi pierwotnego prawa wypływającego z natury. Gdybyśmy się nawet pogodzili z tezą, że własność w ogóle płynie z natury, to mimo to — żadne prawo natury nie przesądza, w jaki sposób własność ma być wykonywana: prywatnie czy społecznie. Człowiek z natury swej musi posiadać dobra, ale natura ludzka nie przesądza, jakie formy w ciągu dziejów ma przyjmować to posiadanie. Podobnie jak oczywisty dla katolika jest pogląd, że własność, tak jak władza, pochodzi od Boga, a więc posiada jak gdyby sakralny charakter. Tylko, że Pan Bóg nie daje tej własności bezpośrednim aktem nikomu w posiadanie, człowiek zgodnie z wolą Bożą zawłaszcza dobra i dysponuje nimi indywidualnie lub zbiorowo w zależności od szczebla rozwoju dziejowego, od ogólnych warunków życia.

Następnie, jeśli chodzi o prawo natury, to trzeba stwierdzić, że jest to problematyka stale jeszcze dyskutowana przez intelektualistów katolickich. Określenie prawa natury nie jest rzeczą bezsporną. Istnieją tendencje zwężania zakresu tego pojęcia.

Tendencja ta wyraża się w określeniu praw natury, jako: „najbardziej podstawowych imponderabiliów rozwoju człowieka“, a więc np. prawo rozwoju osobowości. Takie ujęcie prawa natury łatwo daje się sprowadzić odnośnie własności do tezy, że prawo własności na pewnym etapie realizowało się przez posiadanie indywidualne, a obecnie przez posiadanie zbiorowe.

W uzupełnieniu naszych rozważań na temat własności musimy jeszcze powrócić do pewnych momentów już wyżej zarysowanych. A więc owe wspólne użytkowanie, „usus communis“ tradycyjnej koncepcji katolicko - społecznej, jest fikcją, uzależnia się je bowiem od dobrowolnej ofiary i zrzeczenia się posiadania, na które trudno liczyć. Rozwój moralności społecznej świadczy na niekorzyść tej koncepcji, jej walor wychowawczy jest nieproporcjonalny do zła społecznego, jakie niesie ustrój oparty na własności.

Następnie, tak zwana zasada pomocniczości w koncepcji katolicko-społecznej, przy uspołecznieniu środków produkcji, jeśli uprzemy się, by ją konsekwentnie stosować, musi nas doprowadzić do pełnego uspołecznienia, coraz bardziej bowiem będą tego żądały wymogi elementarnej sprawiedliwości społecznej oraz rozwój techniki i warunki racjonalnej produkcji.

Wszystkie powyższe uwagi muszą prowadzić nas do wniosku, że prywatna własność środków produkcji nie jest koniecznym postulatem, wypływającym ze światopoglądu katolickiego. A następnie fakt, że w państwie socjalistycznym jest realizowana zasada uspołecznienia środków produkcji, nie może wpływać na odniesienie do państwa socjalistycznego głęboko konstruktywnej społecznie katolickiej nauki o państwie. Straszak, jaki czyniono z wspólnej własności i rzucono katolikom pod nogi, jako kłodę mającą ich odgrodzić od ustroju socjalistycznego, nie wytrzymuje żadnej krytyki intelektualnej, a co więcej życie samo mu zaprzecza. Ustrój socjalistyczny bowiem, stając się koniecznością historyczną, ogarnął już niespełna trzecią część globu ziemskiego.

Andrzej Micewski

MAREK STASKI

Konkurenci motylka

„Jelenia Góra“ (PAP).

W Jeleniej Górze powstają wielkie zakłady celulozy i włókien sztucznych, które podwoją naszą produkcję włókien ciętych. Jeleniogórskie zakłady celulozy i włókien sztucznych, fabryka podstawowego produktu dla przemysłu włókienniczego — będą jednym z najnowocześniejszych zakładów tego typu“.

Krótką tę wiadomość mogliśmy półtora roku temu przeczytać na pierwszych stronach naszych dzienników. Ale czy to już wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej jednej z największych inwestycji Planu 6-letniego? Sam problem sztucznego włókna, jego produkcja i wysiłki ludzi, którzy swoją pracą przysparzają nam coraz to nowych milionów metrów tkanin — zasługują na szersze omówienie.

Cofnijmy się myślą wstecz o dwadzieścia wieków...

NIEOCZEKIWANY PREZENT I DOWCIPNE PYTANIE

OJCZYZNĄ jedwabiu są właściwie Chiny, a nie, jak to możnaby przypuszczać, Japonia, która jest obecnie największym producentem jedwabiu. Si-Lung była bowiem żoną chińskiego cesarza Huang-Ti i ona to właśnie napisała dwa tysiące lat temu potężną rozprawę o jedwabnikach. I tu należy szukać początków hodowli jedwabników — w Chinach.

Gdy w roku pięćsetnym pewna królewna przywiozła swemu narzeczonemu do Indii kilka pudełek kokonów i liście morwowe — ten ostatni sromotnie był zawiedziony z tak nieoczekiwanego prezentu. Liczył na duży posag, a otrzymał jakieś pudełka, z którymi nie wiedział co robić. Potem już wiedział. I bardzo pokochał swą żonę, błogosławiąc chwilę, w której przywiozła mu owe pudełka. Poznał bowiem, że mają one zadziwiającą zdolność przekształcania się w ogromne ilości włókna...

Aby dopełnić jeszcze romantyczną historię jedwabiu, dodajmy, że w roku 552 dwaj misjonarze bizantyjscy przywieźli do Europy jajeczka jedwabnika w bambusowych laskach. W Chinach wymienili oni swoje stare, leszczynowe, na nowe, bambusowe, w których sprowadzili jajeczka niciodajnego jedwabnika. Wreszcie dwaj Japończycy ukradli większą ilość jajeczek jedwabnika i odtąd rozpoczęła się hegemonia Japonii w dziedzinie produkcji jedwabiu.

Ale i sztuczny jedwab ma oczywiście swoją historię. Otóż w roku 1665 Robert Hooke przedstawił Królewskiemu Towarzystwu w Londynie swój pomysł wyrabiania sztucznego jedwabiu. Członkowie komisji roześmiali się jednak w głos i zapytali dowcipnie: „Cóż to, czy chce pan zastąpić motyla?“ Niefortunny konkurent motylka opuścił zrezygnowany progi Królewskiego Towarzystwa.

Dopiero w dwieście lat potem Hilary de Chardonnet wraz z J. W. Swanem dokonał w Bromley pewnego doświadczenia. Przepchnął mianowicie roztwór dwuazotanu celulozy pod ciśnieniem przez włoskowate rurki i okazało się, że na powietrzu niteczki celulozy stężały. Pod działaniem siarczku amonowego usunięto z nitek NO_2 i w ten sposób z nitrocelulozy otrzymano czystą celulozę. Tak powstał pierwszy sztuczny jedwab.

Wartość użytkowa sztucznego jedwabiu jest wielka, zwłaszcza wobec jego niskiej ceny. Od chwili wynalezienia go i wprowadzenia do użytku, ubiór ludzki uległ znacznym przeobrażeniom. Nie do pomyślenia jest dzisiaj strój kobiecy bez jedwabnej bielizny, jedwabnych sukien i jedwabnych pończoch. Wobec wielkiej atrakcyjności konsumpcyjnej sztucznego jedwabiu produkcja jego na całym świecie stale i szybko wzrastała, osiągając rozmiary wielkiego przemysłu.

Osobną pozycję w produkcji włókien sztucznych stanowią włókna cięte. O ile jedwab sztuczny zastępuje jedwab naturalny, o tyle włókno cięte zastępuje bawełnę, a nawet wełnę i len. Fabrykację włókien ciętych rozpoczęto w zakładach wiskozowych już w czasie pierwszej wojny światowej w Niemczech. Brak surowca naturalnego na skutek zahamowania dostaw bawełny, spowodowanego blokadą — zmusił ten kraj do szukania sposobu zastąpienia bawełny włóknem z surowca własnego — z drewna świerkowego.

PRODUKCJA WŁÓKIEN CIĘTYCH W POLSCE

PIERWSZE próby produkcji włókien ciętych w Polsce rozpoczęła w roku 1925 Tomaszowska Fabryka Włókien Sztucznych. Następnie na niewielką skalę podjęła tę produkcję Fabryka Widzewska w Łodzi. Rząd Polski Ludowej, doceniając znaczenie włókien ciętych w gospodarce narodowej, przewidział w Planie 6-letnim należyty rozwój tej gałęzi przemysłu.

W lipcu 1951 roku uruchomiono w Gorzowie fabrykę włókien syntetycznych. W końcu 1952 roku rozpoczęła swą produkcję jeleniogórska „Celwiskoza“. W ten sposób — produkcja włókna sztucznego weszła w Polsce na właściwą drogę. W Europie niewiele jest fabryk w rodzaju Gorzowa, czy „Celwiskozy“. Produkcja włókna sztucznego znajduje się bowiem na zachodzie w rękach kapitalistycznych monopoli i karteli, zazdrośnie strzegących swych „tajemnic“ produkcyjnych. Tym większy jest zatem sukces grupy naszych pionierów, którzy dzięki swej energii, pomysłowości i wytrwałości uruchomili na podstawie wyników samodzielnej pracy dwa najnowocześniejsze na świecie zakłady, produkujące sztuczne włókno.

Już przeszło rok temu „Celwiskoza“ dała pierwszą partię produkcji. A perspektywy na przyszłość? Otóż do końca roku 1955, czyli po pełnym uruchomieniu wszystkich działów produkcyjnych dawać będzie jeleniogórski kombinat połowę krajowej produkcji sztucznego włókna. Codziennie odjeżdżać będzie z Jeleniej Góry kilkanaście wagonów sztucznego jedwabiu do naszych zakładów włókienniczych. Znaczy to, że codziennie otrzymywać będziemy nowy, cenny surowiec na miliony metrów tkanin.

DŁUGA DROGA ŚWIERKOWEJ SZCZAPY

JAK powstaje sztuczne włókno? Długa i skomplikowana jest droga świerkowej lub sosnowej szczapy, nim zamieni się ona w kłębek białych, splątanych nitek, które po przejściu przez warsztaty włókiennicze staną się materiałem na nasze ubiory.

Daleko poza „Celwiskozą“ rosły smukłe świerki, z których zrobiono celulozę i przysłano ją do Jeleniej Góry w postaci arkuszy jakby białej tektury. Tę właśnie celulozę „męczą“ nowoczesne maszyny zakładów, aby w naszych domach towarowych i sklepach włókienniczych nie zabrakło ładnych materiałów, sukienek, czy bluzek.

Przeważająca ilość sztucznych włókien, wytwarzana dziś na świecie, zbudowana jest z celulozy. Włókien celulozowych mamy kilka rodzajów. Różnią się one od siebie chemicznym przebiegiem produkcji. Jeleniogórski kombinat produkuje sztuczne włókno systemem wiskozowym.

Celuloza znajduje się w przyrodzie, jako czynnik składowy tkanek roślinnych. Otrzymuje się ją w wielkich zakładach przemysłowych np. z drewna. Proces chemiczny prowadzony w fabrykach celulozy polega na wyodrębnieniu jej od innych ciał towarzyszących, jak lignina i pentazony, oraz na uwolnieniu jej od różnych zanieczyszczeń, jak żywicy, tłuszczu, czy substancji mineralnych. Tak otrzymana celuloza przysyłana jest do „Celwiskozy“. Tutaj podlega ona całemu szeregowi dalszych operacji fizyko - chemicznych, mających na celu otrzymanie z niej masy przędzalniczej.

Celulozę łączy się chemicznie z ługiem, otrzymując tzw. „alkalicelulozę“, którą szarpie się potem za pomocą obracających się zębatych noży na złożoną z drobnych włókienek substancję, zsypywaną do puszek. Substancję tę zostawia się na jakiś czas w spokoju, gdyż podlega ona dalszemu procesowi chemicznemu, tzw. „dojrzewaniu“ alkalicelulozy. Substancję tą przeprowadza się z kolei w tzw. wiskozę, którą filtruje się kilkakrotnie, przetłaczając ją potem przez drobne otworki małutkich sitek, zwanych filierkami, do tzw. „kwaśnej kąpieli“, roztworu kwasu siarkowego i soli glauberskiej, co powoduje ścięcie się wiskozy na żelatynową substancję i wydzielenie z niej celulozy w postaci niteczek.

Gąsienica jedwabnika przędzie jedną niteczkę, filierka zaś spełnia rolę kilkuset takich gąsienic — tylu, ile posiada wspomnianych już otworków. Wszystkie niteczki, wychodzące z jednej filierki łączy się i prowadzi razem, tworząc w ten sposób nić sztucznego włókna. Nić tę, mokrą jeszcze od „kwaśnej kąpieli“, nawija się na dziurkowaną szpulę. Maszyna przędzalnicza, to zgrany zespół 200 czynnych, jednakowo pracujących filierek i 200 obracających się szpul, zbierających wyprzędzony jedwab. Po wysuszeniu jedwab poddaje się skręceniu przez odpowiednie maszyny, przez co pęk równoległych niteczek zespala się w jedną mocno splecioną nić. Motki zawiesza się na maszynie, która podając je z jednej kadzi do drugiej i obracając nimi ostrożnie w zawartych tam płynach, zdejmuje osadzoną na jedwabiu siarkę, bieli go i nadaje mu pożądaną gładkość i śliskość.

Proces przygotowania wiskozy do snucia włókien ciętych nie różni się w zasadzie od postępowania przy otrzymywaniu wiskozy do snucia jedwabiu. Istotna różnica zaczyna się dopiero od chwili, kiedy włókno formuje się i następuje krajanie go na odpowiednie odcinki.

Z krajarki włókno wychodzi pocięte na kawałki. Co dzieje się z nim dalej, tego już prawie nie widać, gdyż wszystko kryje się w maszynach, które podają włókno dalej i dalej, aż wreszcie wentylator dmuchnie je na belowaczki, hydrauliczne prasy, które nastroszoną masę sprasują. Potem opakowane tekturą duże sześciany jadą do zakładów włókienniczych. A potem — my kupujemy materiał.

WĘDRÓWKA Z KOPALNI NA KOBIECE NOGI

OD steelonu rozpoczął jeleniogórski kombinat swą produkcję. Określenie „steelon“ było jeszcze do niedawna nieznane, ale dzisiaj już dobrze wie każda kobieta co ono oznacza — przede wszystkim: pończochy. Określenie to zna już i mężczyzna, gdyż steelon wkroczył także do męskiej garderoby (skarpetki), znają rybacy (sieci, żyłki do wędek), zna je także wielu ludzi, którzy noszą zakupy w steelonowych siatkach i czeszą się steelonowymi grzebieniami.

— No dobrze, dobrze — powiecie — to już wiemy i znamy, ale co ma oznaczać podtytuł „Wędrówka z kopalni na kobiece nogi“?

Pończochy. Tak, steelonowe pończochy. Teraz jeszcze mniej rozumiecie? Zaraz cała sprawa wyjaśni się. Otóż w koksowniach powstaje jako jeden z produktów po spaleniu węgla — smoła pogazowa. Z tej cuchnącej, lepkiej cieczy otrzymuje się fenol, który jest surowcem wyjściowym dla steelonu. Potem fenol łączy się z wodorem. Otrzymany półprodukt, cykloheksanon, jest cieczą, którą poddaje się dalszym procesom chemicznym, otrzymując kaprolaktan. Z niego to przędzie się cienką i mocną nić. Surową przędzę, która jest jeszcze bardzo krucha i łatwo dzieli się w palcach na poszczególne włókienka, trzeba wzmocnić, aby dała nić trwałą i mocną. Wirują więc szpule z nią na maszynie, łudząco podobnej do przędzalniczej, aby przędza surowca skręciła się w nić. Potem nić idzie do płukania i wreszcie nawija się na cewki cieniutka srebrna przędza, trwała, jak żadna inna. To przędza na Twoje, Czytelniczko, pończochy. Teraz już zrozumiałaś zapewne tę wędrówkę z kopalni... na Twoje nogi.

Coraz lepszą i mocniejszą otrzymujesz, Czytelniku, przędzę steelonu. A może zainteresuje Cię także „winion“, czy szklane włókno, które będą służyć celom przemysłowym lub „orlon“, będący doskonałym włóknem typu wełny? Musisz jeszcze jakiś czas poczekać, bo nad tymi materiałami nasi uczeni, chemicy i inżynierowie przeprowadzają dopiero doświadczenia. Ale przypuszczamy, że nie będziesz długo czekał, bo są już ponoć pierwsze osiągnięcia i za jakiś czas ujrzysz w witrynach sklepowych piękny „orlon“...

...A pomiędzy maszynami przędzalniczymi, na oddziale steelonu, na wznoszonych i wykończonych budynkach, pomiędzy samochodami, maszynami, ciągnikami, na ogromnym terenie kombinatu — są ludzie. Ludzie, którzy swoją pracą przysporzą Ci coraz więcej tych materiałów i tkanin. Ludzie, którzy wraz z maszynami, wieloma środkami chemicznymi i potężną bronią, jaką jest nauka, stanowią ogromną konkurencję dla motylka — jedwabnika. Pomysł niefortunnego Roberta Hooke'a został wcielony w życie...

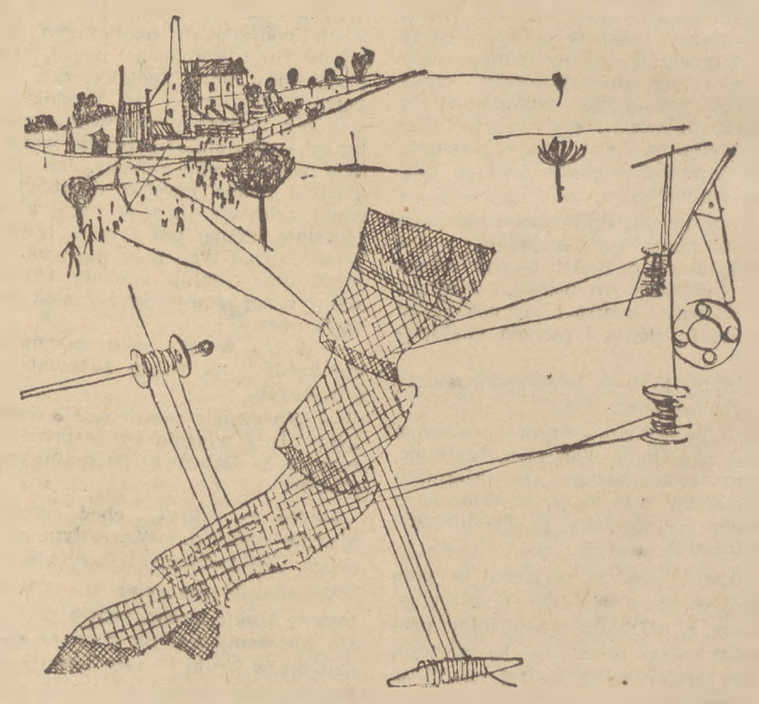

rys. G. R.

„PATRON POLAKÓW W NIEMCZECH“

(Dokończenie ze str. 3)

i opieki społecznej — najcięższa jednak była walka o ziemię, i o pracę. Utrudnianie lub wręcz niedopuszczanie do nabywania przez ludność polską ziemi, zbywania jej Polakowi na rzecz drugiego Polaka, czy nawet wydzierżawiania, uzasadniane było bądź ustawą o obrocie ziemią z dn. 15 marca 1918 r. (ustawą tendencyjnie i sztucznie dostosowaną do zachodzących wypadków), bądź wykrętnym dowodzeniem niedoboru finasowego nabywcy, bądź wreszcie prawem z 11 sierpnia 1919 r. „o osadnictwie“ w Rzeszy, regulującym sprawy tworzenia nowych i umacniania istniejących osad gospodarczo niesamodzielnych. To ostatnie szczególnie mocno godziło w społeczeństwo polskie, bo duży jego procent to robotnicy rolni (według domniemań władzy niemieckiej nie dawali oni gwarancji poradności gospodarczej i samodzielności), którym tym samym nie przysługiwało prawo kupna ziemi. (Wypadek ten nie dotyczył robotników rolnych Niemców).

Również prawo o zagrodach dziedzicznych było groźnym, a może najgroźniejszym godzeniem w mniejszość polską. Jak wiadomo, jedno tylko dziecko mogło dziedziczyć ziemię po rodzicach, a inne zmuszone były do wędrówki w świat w poszukiwaniu pracy — co było równoznaczne z germanizacją jednostki osiadłej przeważnie w czysto niemieckim terenie. Niosło to również niebezpieczeństwo rozbicia rodzeństwa domagającego się każde dla siebie prawa dziedziczenia.

Nie mniej mocno godzono w Polaków w kwestiach pracy, gdyż nie było rzeczą tajną, że istniał wyraźny zakaz zatrudniania Polaków, a szczególnie narodowo aktywnych.

Dla obrony ludu polskiego, dla uniezależnienia go od niemieckiej polityki finansowo - gospodarczej, dla walki o egzystencję powstają: Bank Ludowy w Złotowie, „Rolnik“ w Złotowie i Bank Ludowy w Zakrzewie, przynależne do Związku Polskich Spółdzielni Zarobkowych, który uzyskał prawo rewizyjne we własnym zakresie. Działalność tych placówek — kierowana przez ks. Domańskiego — miała na celu niesienie pomocy ludności polskiej drogą pożyczek, udostępniania chłopom polskim tańszych produktów, oraz akcje społeczne. Banki polskie łożyły na budowę polskich szkół i ochronek i ich remonty, oddawały lokale w swych domach do dyspozycji organizacji polskich. Również z ich funduszów wybudowany został Dom Polski w Zakrzewie, w którym koncentrowało się życie narodowe Polaków.

Jak wydatną pomoc niosły placówki gospodarcze polskie ludności może świadczyć fakt, że tylko w r. 1936 Bank Ludowy w Złotowie rozdzielił 327.717 marek na drobne pożyczki i zapomogi.

Ponadto ks. Domański w siedzibie swojej, Zakrzewie, wydzierżawił biedocie wiejskiej ziemię kościelną; bał się przekazać ją w prawne posiadanie, by nie zastosowano prawa pierwszeństwa państwa w nabyciu praw własności.

Działalność polskich placówek gospodarczych była — rzecz zrozumiała — nie na rękę władzom niemieckim. Różnymi metodami próbowano przeszkodzić ich istnieniu. Zdarzały się wypadki, że „Rolnik“ nie otrzymywał przydziału produktów rolnych czy przemysłowych, lub nie mógł sprzedawać nasion ani ich sprowadzać z Polski; Bank Ludowy w Złotowie napotykał na ciągłe przeszkody stawiane przez landrata złotowskiego w transakcjach sprzedaży czy dzierżawy.

Ważnym odcinkiem pracy narodowej było szkolnictwo polskie. Powołane w r. 1924 polsko - katolickie Towarzystwo Szkolne (zarejestrowane sądownie w lipcu 1925) postawiło sobie za zadanie podtrzymanie języka ojczystego, wychowanie narodowe młodzieży polskiej oraz utrzymanie szkół polskich. Prowadziło ono poza szkołami wieczorowe kursy języka polskiego, imprezy kulturalne, teatrzyki i inne. Wyzyskało też ono w pełni możliwości wynikające z ordynacji o uregulowaniu szkolnictwa polskiego (1928) — w praktyce zresztą niekorzystnej, a nawet godzącej w stronę polską z uwagi na jej dwuznaczność sformułowań. W wyniku sprawnie przeprowadzonej akcji powstało ogólnie 21 szkół (mimo znacznie większego zapotrzebowania). Dalszemu rozwojowi stanęła na przeszkodzie wzrastająca presja gospodarcza na Polaków ze strony pracodawców niemieckich. Nie obyło się bez wydaleń z pracy za posyłanie dzieci do szkoły polskiej. Istniały również bardzo poważne trudności w uzyskaniu sił pedagogicznych, ponieważ brak było własnych nauczycieli, władze zaś niemieckie nie dopuszczały nauczycieli z Polski. Uniemożliwiały również kształcenie we własnym zakresie w Niemczech, a nawet stopniowo usuwały dopuszczonych już do pracy. Wszystko to stwarzało poważne niebezpieczeństwo upadku szkół.

Z Komitetu Narodowego Polaków na obczyźnie powstaje Związek Polaków w Niemczech (1.I.1923) w celu obrony praw mniejszości polskiej zagwarantowanej w Konstytucji weimarskiej. Najpierw pierwszym wiceprezesem, a od roku 1928 prezesem jest ks. Domański. Szczególnie w okresie drugim (po roku 1923) pozostawił on swoją postawą i działalnością nieusuwalne piętno w życiu Związku.

Najważniejszym wydarzeniem w pracy Związku by Kongres Polaków w Niemczech — 6 marca 1938 r. — w piętnastą rocznicę powstania Związku. Kongres zadokumentował niezłomną siłę i wolę walki o prawa dla ludu polskiego w Niemczech, wykazał światu perfidność metod zwalczania mniejszości narodowych w Niemczech hitlerowskich, bezprawne przywłaszczenie ziem rdzennie polskich i obudził ducha narodowego w Polakach częściowo już zgermanizowanych. Ustalił prawdy Polaków, które scementowały dążenia narodowe i spotęgowały siłę ludu polskiego. W przemówieniu programowym ks. Domański mówił: *„Ta walka o nasze święte prawa, to nie jedna wielka, olbrzymia bitwa. To walka składająca się z tysiąca utarczek, klęsk i zwycięstw“. ...„Polskość to mi nadzieją, że nasza sprawa zwycięży...“*

Marian Wypych

STEFAN LICHAŃSKI

PRAWO DO BAJKI

OD paru już miesięcy tkwi na mojej półce jak zmaterializowany wyrzut sumienia recenzenckiego „Polska nowela fantastyczna“ [1] Tuwima. Tkwi i czeka, przypominając o sobie od czasu do czasu koszmarnymi snami, w których nawiedzają mnie i trapią najbardziej złośliwe z zaklętych w niej demonów, widm i żywiołaków. Nie ta jednak zaświatowa presja zmusiła mnie do wzięcia za pióro, jak również nie jakaś niechęć lub nieżyczliwość w stosunku do istot spoza kręgu trójwymiarowej rzeczywistości codziennego bytowania decydowała o moim biernym zachowaniu się wobec tej książki.

Jak zabrać się do niej? Czy zgłaszać pretensję o brak wstępu „ustawiającego“ zagadnienie literatury fantastycznej, o pominięcie kilku jej wybitnych przedstawicieli (np. Tadeusz Miciński, Bolesław Leśmian, Edwin Jędrkiewicz, Bruno Schulz), o niezupełnie trafne zaprezentowanie dorobku poszczególnych pisarzy, o użycie w tytule słowa „nowela“ podczas gdy w książce częściej mamy do czynienia z opowiadaniami lub nawet gawędami, niż z nowelami w ścisłym tego słowa znaczeniu? Ale czy widział kto kiedykolwiek antologię sporządzoną tak, że nie imałyby się jej żadne zarzuty? Czy sam fakt przypomnienia tego gatunku literackiego, mającego dziś raczej „złą prasę“, nie jest poważną zasługą? Jakie więc należy wobec tej książki zająć stanowisko? Takie skrupuły trapiły mnie i uniemożliwiały zabranie się do pisania.

Po „Polską nowelę fantastyczną“ sięgnąłem znów przed paru dniami (skłoniony do tego nie tylko przez zamieszkujące ją „duchy“, ale również i przez melancholijne uwagi redaktora na temat *„arytmiczności“* pracy sprawozdawców literackich „Dziś i Jutro“). Czytałem ją obecnie z innym zupełnie nastawieniem. Przede wszystkim: bardziej bezinteresownie. Przedwczesna i nieodżałowana śmierć Juliana Tuwima uniemożliwiła zajmowanie stanowiska polemicznego wobec opracowanej przez niego książki. Dziś możemy projektować nową antologię noweli (czy opowieści) fantastycznej i dyskutować nad jej zawartością oraz układem, ale wybór (czy raczej: zbiór) podpisany nazwiskiem Tuwima musi pozostać w kształcie takim, w jakim chciał go mieć zmarły poeta.

„Polska nowela fantastyczna“, przestała być jednym z wydarzeń bieżącego życia literackiego, przeszła w dziedzinę historii dokonanej, spełnionej. Zmieniła się sytuacja książki i zmieniło się nasze spojrzenie na nią: kwestie metodologiczne dotyczące antologii straciły na ważkości, na plan pierwszy wysunęło się zagadnienie ściśle merytoryczne — zagadnienie fantastyki. I temu właśnie zagadnieniu poświęcimy nieco uwagi traktując „Polską nowelę fantastyczną“ wyłącznie jako punkt wyjścia.

*

KSIĄŻKA ta ukazuje się już w drugim wydaniu. Wynika z tego, że została ona przyjęta przez czytelników jak najbardziej życzliwie. Co zadecydowało o takim właśnie jej przyjęciu? Czy sama tylko sensacyjność fabuły zgromadzonych w tym zbiorze opowiadań? Czy może wyjątkowość tej pozycji wydawniczej na tle współczesnej produkcji literackiej nastawionej wyraźnie na realizm, faktografię, trzeźwość myślenia? Poprzestać na takiej interpretacji — to poprzestać na zanotowaniu okoliczności wtórnych i ubocznych, to uciec przed właściwym zagadnieniem podstawiając na jego miejsce kwestie pochodne. Przecież upodobanie do sensacji, niezwykłości, do szukania w literaturze opisu faktów nie mieszczących się w kręgu normalnych relacji człowieka z jego bliźnimi i światem rzeczy to fakty, których analiza sprowadza je ostatecznie do poszczególnych przypadków zagadnienia szerszego: zagadnienie fantazji i jej roli w ogólnej ekonomice ducha ludzkiego.

Nie podobna spraw tak skomplikowanych omówić dostatecznie w krótkim szkicu. Dlatego też nie zapuszczając się w szczegółowe rozważania na temat fantazji spróbujemy obchodzącą nas problematykę ukazać na kilku wybranych przykładach z zakresu literatury fantastycznej. Nie da się tu jednak uniknąć paru wyjaśnień natury bardziej teoretycznej.

Zacznijmy od sprawy pozornie błahej i bardzo odległej od przedmiotu naszych dociekań. Chodzi mi o popularny frazes przeciwstawiający ludzi realnie myślących „fantastom“. Frazes ten bywa rozumiany bardzo różnie, ale zawsze brzmi w nim ton wzgardliwej niechęci wobec „fantastów“, nie mający żadnych uzasadnień poza nieścisłym rozumieniem terminu „fantazja“, który traktuje się jako określenie czegoś, co jest przeciwieństwem myślenia trzeźwego i rozsądnego. Sugestia tej błędnej interpretacji tworzy wokół słowa „fantazja“ specyficzną aurę emocjonalnej niechęci i nieufności, utrudniającą spokojne, sine ira et studio rozważanie zagadnień wiążących się z treścią tego terminu. Dlatego też nie zaszkodzi raz jeszcze przypomnieć, że fantazja to nic innego jak pewna forma aktywności psychicznej, polegająca na kształtowaniu wyobrażeń wytwórczych lub nowych przedstawień nieobrazowych z materiału, jakiego dostarczają wrażenia, spostrzeżenia, wyobrażenia odtwórcze oraz przedstawienia nieobrazowe zarówno przypomnieniowe jak i związane z aktualnie zachodzącymi wrażeniami czy spostrzeżeniami. Przejawy fantazji są materiałem marzeń i snów na jawie, jak też widzeń sennych, a także integralnym składnikiem wszelkich najogólniej mówiąc — pomysłów — i to pomysłów nie tylko artystycznych, ale również naukowych, filozoficznych, politycznych, ekonomicznych — aż po rozmaite koncepcje o znaczeniu najciaśniej użytkowym z zakresu spraw najbardziej codziennych, w najściślejszym tego słowa znaczeniu praktyczno-życiowych.

Przypomnienie tych podręcznikowych informacji jest o tyle potrzebne, że pomaga nam zrozumieć ów prosty, ale częstokroć przeoczany fakt, iż literatura fantastyczna nie jest produktem samej tylko fantazji. Ilekroć chcąc uczcić kogoś z pisarzy chwalimy go za „bujną fantazję“, mamy w gruncie rzeczy na myśli nie tylko samą obfitość i estetyczną sugestywność tworów jego wyobraźni stwarzającej (bo i tak moglibyśmy nazwać fantazję), ale i także zdolność umiejętnego gospodarowania owym bogactwem, ta zaś nie należy już do tej parafii, jest kwestią nie fantazji, lecz uczulonej estetycznie inteligencji praktycznej, której działalność z kolei wyznacza i określa to, co autor przy pisaniu dzieła myśli i odczuwa, czego chce.

Wynika z tego, że fantastyka literacka nie jest produktem samej tylko fantazji autora, że na ukształtowanie się jej wpływają czynniki bardzo różnorodne. I właśnie ich wzajemne współzależności i oddziaływania decydują o charakterze utworu zaliczanego do kategorii fantastycznych a nie to, że pojawiają się w nim istoty i rzeczy nie spotykane w obrębie rzeczywistości dostępnej naszemu poznaniu praktycznemu i naukowemu, że autor ukazuje stosunki między faktami i przedmiotami nieznane nam z życiowego doświadczenia. Zarówno bowiem cechy wyróżniające wszelkie fantastyczne stwory jak i stosunki, które stwory te łączą ze światem realnym, kształtują się na bazie daleko szerszej niż psychologiczny proces formowania się choćby najbardziej wymyślnych i dziwacznych wyobrażeń wytwórczych autora. Oczywiście, byłoby nonsensem twierdzić, że specyficzne cechy wyobraźni indywidualnej nie wpływają na kształtowanie się sposobu myślenia i odczuwania danej jednostki, ale faktu tego nie należy przeceniać — nawet jeżeli chodzi o osobnika pisującego fantastyczne powieści.

*

Z punktu widzenia wyznaczonego przez obchodzące nas zagadnienia najmniej ważne są te wypadki, kiedy fantastyka zjawia się w utworze jako element dekoracyjny mający wzmóc efektowność fabuły (np. powieści sensacyjnej w rodzaju „Psa Baskervillów“ Conan Doyle'a, w których pierwiastek fantastyczno-niesamowity, wydający się z początku rzeczą w książce najważniejszą, zostaje ostatecznie zdemaskowany jako sprytny bluff zbrodniarza, a wszystkie zawikłania rozwiązują się w sposób naturalny). Podobnie ma się sprawa z opowiastkami moralno-dydaktycznymi i popularno-naukowymi, w których elementy fantastyczne (mówiące zwierzęta i przedmioty, odkrywanie tajemniczych krain, wędrówka w odległe epoki itp.) grają tylko rolę czynnika pomocniczego. Wszystkie te rodzaje fantastyki pozornej interesują nas tylko pośrednio: jako dowód, że nawet zupełnie zewnętrzne ufantastycznienie fabuły podnosi atrakcyjność książki.

Z ciekawszą problematyką spotykamy się biorąc na warsztat utwory o konsekwentnie wytrzymanej fantastycznej konwencji przedstawieniowej. Najbardziej reprezentatywna będzie w tym wypadku bajka zwierzęca w stylu Lafontaine'a. Element fantastyczny potraktowany zostaje w niej zupełnie konwencjonalnie, jako świadomie założona fikcja. Fikcja ta nie ma jednak na celu epatowania czytelnika. Jej rola jest zupełnie odmienna i daleko szlachetniejsza: chodzi o to, ażeby koncepcja ideowa utworu zarysowała się przez tę konwencjonalność zewnętrznego kształtu jak najbardziej jednoznacznie i wyraziście, oswobodzona od wszystkiego, co przypadkowe, indywidualne, związane z jakąkolwiek realną sytuacją życiową, a więc włączającą przedstawione w utworze zdarzenie w sieć różnorodnych stosunków i uwikłań. Wymyślona sytuacja, wymyśleni partnerzy, wymyślone stosunki między nimi — a wszystko wymyślone tak, ażeby rozwiązanie sytuacyjne i myślowe mogło być tylko jedno: obraz i formuła słowna stanowiące razem morał bajki. Szczyt precyzji i konsekwencji. Nieprześcigniony dotąd arcywzór twórczości literackiej najbardziej i najkonsekwentniej świadomej, podporządkowującej wszystkie formy aktywności psychicznej myśleniu dyskursywnemu. Fantastyka, która jest zaprzeczeniem tego, co potocznie rozumie się przez fantastyczność: irracjonalizmu, emocjonalizmu, dowolności.

Podobnie przedstawia się sprawa czy to w starym moralitecie czy też we wszelkich formach przypowieści, poczynając od ewangelicznych apokryfów a kończąc na tego typu powieściach-przypowieściach, co np. „Kula i krzyż“ czy „Człowiek, który był Czwartkiem“ Chestertona lub powiastki filozoficzne Woltera czy Diderota. Podobnie wreszcie we wszelkich utopiach, z utopiami negatywnymi w stylu „Nowego wspaniałego świata“ Huxleya włącznie. Zawsze zasadą organizującą jest w takich wypadkach dialektyka pojęć, ścieranie się idei zmierzające do pewnego konkretnego rozwiązania, które autor pragnie narzucić czytelnikowi jako ostateczne i bezsprzecznie trafne. I zawsze fantastyka, czy przejawi się w formie alegorii, czy też symbolu lub jak największej (przynajmniej ilościowo) metafory, jest służką myśli formułującej swoje koncepcje filozoficzne, etyczne, religijne, polityczne, społeczne, czy wreszcie jakiekolwiek inne. Panem jest tu rozum i jeżeli nie zawsze autorom dobrze wychodzą te ich alegoryczne pasjanse, to fantastyki za to winić nie podobna. Cóż, świętą rację ma Irzykowski, gdy mówi „Nie wszystko, co pochodzi z rozumu, jest mądre, gdyż i głupota ma swoje siedlisko w rozumie“.

*

OTÓŻ w tym rzecz: fantastyka jest narzędziem, którym posłużyć się może każda myśl: mądra i głupia, dobra i zła. Istnieje jednak także sytuacja odmienna, kiedy myśl idzie w służbę fantastycznych rojeń. W takich wypadkach fantastyczniejsze sama wizja centralna utworu i to fantastyczniejsze podwójnie: jako koncepcja kształtu artystycznego, którego fantastyczność jest wyznaczona fantastycznością koncepcji myślowej dzieła. Spoza zdeformowanego i upstrzonego baśniowymi lub koszmarnymi elementami obrazu świata wyłania się to irracjonalizm, to agnostycyzm poznawczy, to znów taka czy inna forma filozoficznego subiektywizmu, metafizykującego pesymizmu lub wreszcie ucieczki od wszelkiego dyskursywnego myślenia w intelektualne „przeżywanie“, w czysty witalizm.

Konkretyzacje artystyczne tego rodzaju postaw bywają bardzo różnorodne. Formą ich najczystszą i w pewnym sensie najszlachetniejszą (bo najmniej perfidną, niezamaskowaną) jest literatura filozoficzno-eschatologiczna, pakująca w powieść, dramat czy poemat mniej lub więcej zbeletryzowany wykład doktryny, zazwyczaj bardzo ciemnej, choć często autorowie starają się dać do zrozumienia, że ciemność ta jest przez nich świadomie założona, a to gwoli osłonięcia głębszych znaczeń, które dostępne mogą być tylko osobnikom stojącym na odpowiednim szczeblu rozwoju duchowego. Literatura taka pełni więc funkcje podwójne: „dojrzałym duchowo“ daje niezwykle krzepiącą strawę ezoterycznych wtajemniczeń, „profanom“ — egzoteryczne bajdy o żelaznym wilku. Warto tu dodać, że jeśli tego rodzaju utwory pisane są z talentem, to strona egzoteryczna okazuje się w nich daleko ciekawsza od ezoterycznej, będącej zwykle wieżą Babel najróżnorodniejszych poglądów i teorii „wiedzy tajemnej“, poczynając od hermetyzmu, mitraizmu, gnozy, przez kabalistykę, białą i czarną magię średniowiecza aż po najnowsze okultyzmy i spirytyzmy.

Literatura tego typu ma za sobą piękną i bogatą przeszłość. Wśród jej antenatów wymienić należy Filostratosa, biografa słynnego Apoloniusza z Tiany, i Apulejusza z Madaury autora „Złotego osła“, romansu głoszącego chwałę kultu Izydy. Z czasów bliższych nam historycznie wspomnieć by należało niektóre — mówiąc słowami Nowaczyńskiego — „genialne poronienia“ naszego romantyzmu („Samuel Zborowski“, „Król Duch“). Tęsknota za nadludzką mądrością, za ponadnaukową wiedzą umożliwiającą zrozumienie tajemnic wszechświata, powiązanie losów ludzkich z prawidłowościami procesów kosmicznych przetrwała całe tysiąclecia, by w okresie wielkiego zmierzchu burżuazyjnej Europy przemówić raz jeszcze w niemieckim ekspresjonizmie (Kafka, Meyrink).

Nie zawsze jednak ten typ fantastyki występuje w takiej właśnie postaci. Często bezpośredni wykład ezoterycznych doktryn i subiektywnych „objawień“ zostaje zastąpiony przez fantastykę „czystą“, z pozoru wolną od wszelkich obciążeń światopoglądowych. Irracjonalny jednak obraz świata, charakterystyczny np. dla przedwojennej poezji Gałczyńskiego, pozwala zorientować się w przemilczanych założeniach światopoglądowych takiej poetyckiej fantastyki.

Inną jej odmianę znajdziemy np. u Leo Perutza czy Józefa Rotha, którzy zachowując pozory zupełnie realistycznego opisu rzeczywistości ufantastyczniają stosunki, podkładają pod libretto zdarzeń z pozoru najzupełniej pospolitych i codziennych fantastyczną melodię „zaświatowych“ rewelacji.

Fantastyka tego typu, chociaż daje efekty artystyczne wyższej na ogół rangi niż omówiona poprzednio fantastyka sprowadzona wyłącznie do roli konwencji przedstawieniowej, zaszczepia zwykle również niebezpieczne tendencje myślowe. Na szczęście tendencje te, związane ściśle z historyczno-społeczną sytuacją autora i będące zmitologizowaną i zmetaforyzowaną reakcją psychiczną na tę sytuację, nie przeżywają na ogół epoki która je zrodziła. Światoburcze rewelacje metafizyczne, objawienia ezoterycznych tajemnic stają się czasem już dla następnego pokolenia motywem czysto estetycznym, przyjmowanym w odbiorze czytelniczym nie jako przekonanie, ale jako tzw. sąd przedstawiony, w który niby się trochę wierzy, ale przecież nie na tyle, żeby nie zdawać sobie sprawy z iluzoryczności owej wiary.

*

TRUDNO byłoby na podstawie dotychczasowych rozważań ustalać jakieś prawa rozwojowe życia sztuki. W każdym bądź razie można w formie hipotetycznego uogólnienia empirycznego zaryzykować stwierdzenie, że te utwory fantastyczne, które nie uwiędły zupełnie razem ze swoją epoką, przekształcają się dla „późnego wnuka“ w bajkę, którą bawi się on „nawpół żartem, nawpół serio“. I powiem wręcz, że nie jest to bez kozery. Dodam tu drugie spostrzeżenie: E. T. A. Hoffmann i E. A. Poe zyskali sławę jako „poeci grozy“. Dziś jednak najmocniej przemawiają do nas nie ich makabryczne opowieści o diablich eliksirach, czarnych kotach i maskach Czerwonego Moru, ale poetyckie i humorystyczne bajki obu tych pisarzy.

Ta żywotność bajki i jej zdolność asymilowania odmiennych rodzajów literackich nie jest sprawą przypadku. Przypomnijmy sobie, ile to setek lat liczą sobie niektóre bajki ludowe i przez ile krajów wędrowały one, ulegając w zależności od czasu i miejsca różnorodnym modyfikacjom kształtu artystycznego, ale wciąż zachowując swoje jądro treściowe: poetycką, metaforyczną wizję pewnej postawy życiowej, pewnego gestu psychicznego lub też międzyludzkiego układu sytuacyjnego. Ten schemat treściowy reaktualizuje się na nowo w każdym kraju i w każdym pokoleniu. Uzyskuje coraz to inną interpretację znaczeniową, konkretyzując się w coraz to nowych egzemplifikacjach, którymi wypełnia go zależnie od swojej sytuacji każde środowisko. Trwałość zapewnia mu złożona w nim suma doświadczenia zbiorowego, które w dziejach Kopciuszka, śpiącej królewny, pożartego przez myszy tyrana zamknęło swoją wiedzę o pewnych wzorcowych typach losu ludzkiego. Czy wzorzec ten jest koncepcją mityczną, czy też przysługuje mu atrybut obiektywnej ważności? Pytanie to pozostaje i pozostać musi bez odpowiedzi. Pogląd nasz na te sprawy nie może wybrnąć poza chroniczną chwiejność i niepewność. Poetycki urok bajki, czar wielowiekowej patyny odbierają rezon chłodnemu krytycyzmowi intelektu. Nie są zdolne zmusić go do wiary, ujarzmić i przekonać, są jednak dość silne, by nie pozwolić mu na otwartą negację. Zarówno sąd o prawdziwości jak i o fałszywości tego wzorca zatrzymuje się na fazie sądu przedstawionego. Nie stwierdza fałszu ani prawdy, stwierdza możliwość.

Czy Verne pisząc „20000 mil podmorskiej żeglugi“ uważał „Nautilusa“ za realny projekt, który za ileś tam lat **musi** być zrealizowany przez potomnych, czy też za wyssaną z palca „bujdę na resorach“? Czy Wells przedstawiając w „Wehikule czasu“ Elojów i Morloków był istotnie przekonany, że tak ukształtują się przyszłe losy rodzaju ludzkiego, czy też pisał o tym tylko „tak sobie“? Oczywiście, co przy tej okazji myśleli ci panowie jako ludzie prywatni, nie jest dla nas ważne; obchodzi nas tylko to, czy obiektywnie, pozapsychologiczne pomysły ich były proroctwami czy też wytworami czystej imaginacji. I tu powiedzieć musimy: ani jedno, ani drugie. Były one stwierdzeniem pewnych możliwości.

„Fantazję można znieść tylko w towarzystwie rozumu“, powiada Hebel. Zdanie to należy rozumieć nie tylko postulatywnie, ale również jako stwierdzenie obiektywnego stanu rzeczy. Fantazja konkretyzuje się artystycznie w sposób pełny wtedy i tylko wtedy, gdy znaczeniowo konkretyzacja ta staje się formułą możliwości.

Co robić dotarłszy do tego punktu rozważań? Rozpocząć wielką dysertację o roli pojęcia „możliwość“ w różnych współczesnych systemach filozoficznych? Spróbować ustalić jakąś „właściwą“ hierachię możliwości? Pewien jestem tylko jednego: najważniejsze są te spośród nich, które traktować musimy jako pytania postawione naszemu umysłowi przez rzeczywistość, jako prowokacje z jej strony zmuszające nas do maksymalnego wysiłku gwoli przesunięcia tablic granicznych z napisem „wiadome“ o jakiś tam odcinek drogi w głąb tego niczyjego kraju zwanego „niewiadome“.

Wiem, słowem, niewiele. Dosyć jednak, by zrozumieć doniosłość bajki, jej wielki walor humanistyczny, jej znaczenie dla naszego życia duchowego. Nie mogę bowiem zadowolić się biało-czarnym światem, rozparcelowanym między prawdę i fałsz i tylko tu i ówdzie popstrzonym zielonymi plamami nonsensu. Przypominam współczesnej literaturze polskiej o moim prawie do bajki. I przypominam jeszcze, że prawo do bajki — to prawo do widzenia świata nie jako zamkniętego i skończonego układu, jako olbrzymiego magazynu określonych raz na zawsze „rzeczy“ i „indywiduów“, ale jako niewyczerpalnego strumienia możliwości.

1) Polska nowela fantastyczna. Zebrał Julian Tuwim. Państwowy Instytut Wydawniczy. Tom I i II. Str. 275 + 5 nlb. i 324 + 6 nlb.

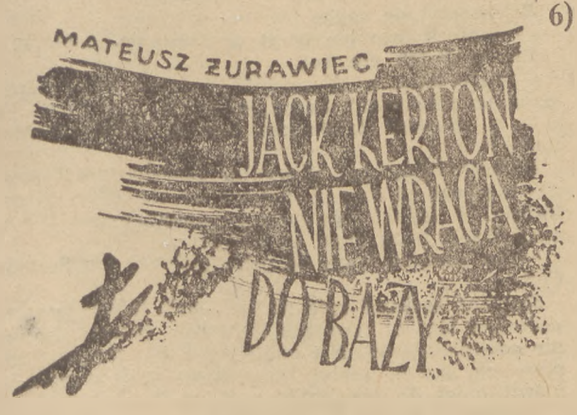

6)

CZĘŚĆ DRUGA

1

KERTON rozglądał się po małej izdebce szpitalnej pełen zdziwienia i — co zdziwienie jeszcze bardziej potęgowało — pełen spokoju. Dziwił się wszystkiemu. I temu, że leży w czystym łóżku, że czuje pod brzuścami palców czystą pościel, że palce ma jakieś niewłasne, prawie całkiem zniemowlęciałe, że może nimi — uniósłszy dłoń ku twarzy — pogładzić własną, a jakby obcą, brodę, której nigdy przecież nie miał, a która teraz już układała mu się w gęsty, miejscami zwichrzony klin. Dziwił się, ale spokojnie, pewnie tak, jak dziwi się dziecko poznając w pełnym ciekawości skupieniu nowy świat.

Wiedział już z wczorajszej gadaniny chrapiącego w tej chwili na sąsiednim łóżku Lenocha, że podobno przez cztery tygodnie mówił od rzeczy, bredził o jakichś rybach, kopczykach z cegieł i innych bzdurach, ale wydawało mu się, że to nie były cztery tygodnie, ale jedna, długa noc, lub krótka, a przecież niezmierzona, wieczność.

Jak za mgłą, a jednocześnie niemal namacalnie — czuł cały ogrom przeżytych przez te cztery tygodnie spraw. Błądził po jakimś mulistym dnie, śliskie wodorosty czepiały mu się nóg, grzązł w szlamowatym błocie, walczył z jakimiś potworami, z ławicą napęczniałych karpi o wyłupiastych i naprzemian skośnych oczach.

A teraz to wszystko za nim. Leży w czystym łóżku, przykryty ciepłym wojłokiem i słucha poświstów wiatru, tłukącego o szyby zaklejone mrokiem koreańskiej nocy.

Myśli rysują mu się jasno, mógłby każdą nazwać po imieniu, ustawić je w wyrównany szereg. Tylko nie chce. A może boi się? Nie, po prostu nie chce. Dobrze mu tak leżeć, gładzić szorpaty koc, słuchać pohukiwań i pojękiwań wiatru. Myśli i tak przyjdą. Wciągną. Każą stanąć na czele swego szeregu i prowadzić. Dokąd? Gdzie wiedzie droga z izdebki koreańskiego szpitala, ukrytego w jakimś tam punkcie rejonu Hoandżu?

Kerton nie chce jeszcze szukać tej drogi. Chce po prostu leżeć, patrzeć w mrok, słuchać postękującej za oknami nocy. Ale człowiek skazany jest na myśl. A myśl — na szukanie. Kerton na próżno przymyka powieki. Na próżno odwraca głowę ku poduszce, jakby układał się do snu. I sen jest rzeczywistością. Od rzeczywistości nie ma ucieczki.

Lenoch mówił wczoraj, że nad głową Kertona wisiała przez chwilę — dosłownie wisiała — śmierć. W głosie Lenocha była nienawiść. Głos Lenocha podżegał do nienawiści. Rozpylał ją jak trujący opar. Kerton rozpędził nad sobą ten czad. Żyje. Nie zabili go. Nie wykłuli oczu rozżarzonymi szpilkami, nie wyrwali języka. Leży w miękko zasłanym łóżku. Pod głową nakrochmalona poduszka. To rzeczywistość.

Kerton dotyka szorstkiej rzeczywistości wojłokowego koca. Nogi opiera o pręty żelaznego łóżka. Chce naprężyć ciało, napiąć je jak cięciwę, by w pełni odczuć sprawność wszystkich mięśni. Ugina się coś w nim miękko, załamuje w kolanach. Za słaby jeszcze. Jeszcze nie doszedł do swoich sił.

Ashfork mówił — i na kursach kunsańskich w Tokio — że niewola u żółtych gorsza jest niż śmierć. „Jedziecie — mówił — w kraj przeżarty barbarzyństwem. Wszystko co ludzkie jest im obce. Nie możecie liczyć nawet na miligram człowieczeństwa. Na tym polega wasz heroizm.“ Potem mówił o tym ich „kimoton“, opisywał jak rozcinają człowieka, by — z żyjącego jeszcze — wydobyć gorącą, parującą (podkreślał wyraźnie: „parującą, moi panowie“) wątrobę, nagle, aby go w tej izdebce szpitalnej zobaczył Ashfork. „Głupi, zakłamany szczekacz!“ Z odrazą odwrócił myśl od natrętnego wspomnienia. Przywołał ku sobie Betty.

Droga, kochana Betty! Co robi teraz? Która tam teraz u nich godzina? Jak to się geograficznie przelicza

Kerton wsuwa rękę pod koc. Dotyka piersi. Wydelikaconymi osłabieniem brzuściami palców czuje małe gruzełki pokłutej skóry. Pokłuli go zastrzykami. Nagłym wstydem pali go przypomnienie pierwszego zabiegu, gdy nieprzytomny ze strachu runął w swoją histeryczną śmierć. Nie wiadomo dlaczego, zapragnął

rys. Andrzej Pol

czas? Pewnie zawiadomili ją o jego śmierci. „Porucznik Kerton nie wrócił do bazy w Kunsanie“. Tam odczytali to jednoznacznie: zginął.

Zapiekły go nagłym ciepłem powieki. Betty! Czy pojechała do jego matki? Może nawet dały na mszę żałobną? Kiedy do nich wróci? Jak wróci? Jakie są drogi powrotu do dawnego życia? Czy są drogi powrotu do dawnego życia?

Wiatr za oknami przycichł. Zadzwoniła w uszach nagła cisza. Sen nie nadchodził. Zbyt wiele snu było w ostatnim miesiącu. Wspomnienia płynęły rozedraną, przerywaną falą.

Betty mówiła: wracaj zdrów i cały. Nie wpadnij w ręce tym żółtym diabłom. Zrób swoje i wracaj. Uczyła go tej wiary w zahaczone palce. Mimo woli teraz powtórzył ten gest. Ze spokojnym zdziwieniem stwierdził, że nie rozczula go jak dawniej. Nigdy w ten gest nie wierzył, ale wzruszał go zawsze. Teraz rozśmieszył tylko. Rozerwał nagle palce. Gdzieś bokiem wymknęła mu się nagła myśl: żółte diabły uratowały mi życie. Byłem bardzo chory. A ona mówiła: zrób swoje i wracaj.

Wtulił głowę w poduszkę. Och, Betty, nic nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. Nie możesz zrozumieć?

Zamiast Betty zgłosiła się matka. Patrzyła na niego ciepło, pokornie i niesmiało. Kerton wyłuskiwał z ciemności szpitalnej izdebki jej pochyloną, zgiętą kalectwem postać. Zawsze był wobec niej jakoś skrępowany. Wstydził się za brutalność ojca, który po nieszczęśliwym wypadku samochodowym (sam był zresztą winien, bo jechał zbyt szybko, a prowadził wóz źle), gdy przywieźli ją ze szpitala, stał się wręcz chamski, bezlitosny. Odetchnęli chyba oboje, gdy umarł. Matka płakała, ale on nie wierzył w jej żal. Leżała także między nią a synem ta niewypowiedziana, lecz wiadoma mu tajemnica. Zdradził mu ją ojciec. Przyszedł kiedyś pijany i rzucił na nocny stolik oprawny w skórę brulion. „Masz, przeczytaj, zobacz na co cię chcieli wykierować!“ Był to intymny pamiętnik matki. Ojciec żółtym od nikotyny palcem wskazał mu fragment na kartce z zagiętym rogiem. Matka chciała, żeby Jack został księdzem. Było to śmieszne. Nic w nim nie zapowiadało takich zamiłowań. Palił się do mechaniki. Matka pisała zresztą raczej westchnieniem niż nadzieją. Ot, po prostu spo-

OKOLICZNOŚCI PRZYJĘCIA CHRZTU PRZEZ POLSKĘ

Współczynnikiem w podejmowaniu decyzji był bez wątpienia rozmiar konfliktu polsko - wieleckiego. Wieleci, to nie była tylko formacja polityczna. Wskazaliśmy na rolę wielkiego osiedla handlowego u ich sprzymierzeńców, Wolinian. Ale Wieleci, to była także formacja połączona wspólnym kultem boga pogańskiego, Swarożyca. Swarozyc nie był bóstwem spotykanym tylko w Słowiańszczyźnie wieleckiej. Było to bóstwo, które stało u podstawy wierzeń ogólno - słowiańskich, skoro ślad jego spotykamy również na Rusi. Ale w tym czasie było to notorycznie regionalne, jeśli tego słowa użyć wolno, bóstwo zachodnio - słowiańskie. Opozycja w stosunku do Słowian wieleckich musiała zatem być i opozycją na płaszczyźnie religijnej. Stąd politycznie prowadziła prosta droga do chrześcijaństwa i do politycznego porozumienia z Niemcami, zwalczającymi podówczas Słowian wieleckich. Taka też była przesłanka układu polsko - niemieckiego, który został zawarty prawdopodobnie w r. 963 i którego ślad przechował Thietmar, aczkolwiek w tendencyjnie zniekształconej redakcji.

Jeśli bierzemy pod uwagę stosunki polsko - niemieckie w drugiej połowie X wieku, musimy także pilnie pamiętać o tym, że ówczesna Polska nie jest państwem o rozmiarze państwa obodrzyckiego, wieleckiego czy nawet czeskiego. To jest państwo wielkie i na ten szczegół z całą słusznością zwracał uwagę Kazimierz Tymieniecki.

Po układzie z r. 963 wypadki biegły już szybko. Nastąpił najpierw przyjazd Dąbrówki do Polski, potem chrzest Mieszka, a rychło potem ponowna walka tej samej koalicji redarsko - wolińskiej, dowodzonej przez tego samego i dobrze znanego nam grafa saskiego, Wichmana. Tym razem książę polski odniósł zupełny sukces. W nieostatniej mierze dzięki dwom pułkom konnicy, które przesłał mu spowinowacony z nim książę czeski.

(Dokończenie ze str. 1)

Zwycięstwo w nowej wojnie z Słowiańszczyzną wielecką (967), poprzedzone przyjęciem chrztu, spowodowało w stosunkach wewnętrznych zmianę, którą by można określić mianem jakościowej. Książę piastowski, który przeciwstawił się kultowi Swarożyca, tym samym uniezależnił się w stosunku do tych elementów we własnym społeczeństwie, które temu kultowi i związkom z Wieletami sprzyjały. Równoczesne przyjęcie chrztu, to usamodzielnienie księcia jeszcze silniej uwypukliło. Wyrazem tej zmiany jakościowej są monumentalne budowle, których ślady spotykamy w drugiej połowie wieku X. Buduje się bowiem wówczas w Poznaniu potężny gród z opasującą go ławą kamienną, a na podgrodziu murowaną katedrę, widomy wyraz nowych czasów i stosunków.

W tym układzie rzeczy biskupstwo poznańskie nie było jeszcze jedną forpocztą wysuniętą ku dalszemu wschodowi słowiańskiemu, lecz zupełnie odwrotnie, placówką religijną, ustawioną w Polsce frontem do Słowiańszczyzny wieleckiej. Albowiem najbliższym problemem politycznym staje się chrystianizacja Słowiańszczyzny wieleckiej. Tendencje repoganizacyjne spotykane na tym obszarze były podówczas w rażącej sprzeczności z nowymi zasadami organizacyjnymi państwa polskiego. Toteż o ile zwycięstwo z r. 967 osłabiło dotychczasową łączność interesów polsko - niemieckich — osłabiło, ponieważ porozumienie polsko-niemieckie uczyniło mniej zbędnym — o tyle wielkie powstanie polityczne i religijne, które wybuchło w Słowiańszczyźnie zachodniej w r. 983, wpłynęło na ponowne zbliżenie polsko - niemieckie. Wtedy to, w r. 986, przychodzi do jakiegoś nowego aktu, który zdaje się miał ratyfikować odnowione podówczas przymierze. Tak w każdym razie można patrzeć na tę sprawę pod kątem widzenia podobnego aktu znanego później z r. 1013 i w podobny sposób trafnie zinterpretowanego przez profesora M. Z. Jedlickiego.

Polska wchodzi podówczas w okres zbliżenia z Niemcami, podniesionego do apogeum w roku 1000: roku zjazdu gnieźnieńskiego i spotkania w Gnieźnie Bolesława Chrobrego z cesarzem Ottonem III. Te przesłanki polityczne, które przyświecały erekcji biskupstwa poznańskiego w r. 966, ulegają wówczas pogłębieniu. Powstaje bowiem cała nowa prowincja kościelna z biskupstwami w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie. Stosunkowo gęste usianie placówkami episkopalnymi zachodniej Polski w przeciwieństwie do stanowiącej wówczas pod tym względem białą plamę Polski wschodniej, świadczy, że i w r. 1000 chodziło ciągle jeszcze o to samo, co przedtem jeszcze w r. 966: to znaczy o otoczenie Słowian wieleckich placówkami episkopalnymi od wschodu.

Ten tak przedstawiany obraz był do niedawna stale deformowany. Deformatorem, który pod tym względem najbardziej zasłużył się, był niedawno zmarły profesor uniwersytetu berlińskiego i generalny dyrektor archiwów pruskich, Albert Brackmann. On to był organizatorem agresji nauki niemieckiej w przededniu uderzenia hitlerowskiego, ale domysły swoje snuł już dawniej. Po raz pierwszy, w sześć lat po pracy Kehra, wystąpił z nimi w „Historische Zeitschrift", w 1926, w artykule pt. *Die Ostpolitik Ottos des Grossen* („Polityka wschodnia Ottona Wielkiego"). W artykule tym zajął się pobytem Ottona I w Rzymie w czasie koronacji cesarskiej w r. 962. Papież zapowiedział wówczas przyszłą erekcję arcybiskupstwa magdeburskiego. Brackmann wystąpił z tezą, że wówczas chodziło o pełnomocnictwo dla Magdeburga na cały słowiański Wschód. Rzekomo miała świadczyć o tym osoba przyszłego arcybiskupa magdeburskiego, Adalberta, niegdyś niedoszłego apostoła Rusi. Ponieważ teza ta stała w sprzeczności z brzmieniem dokumentu zarówno z r. 962 jak też z lat następnych, Brackmann sformułował tezę o zwrocie, który miał się jakoby dokonać w polityce papieskiej. W polemice z tą tezą uzyskał w r. 1938 ostrogi naukowe Gerard Labuda (w rozprawie pt. Magdeburg i Poznań, drukowanej w XIV tomie Roczników Historycznych). Ale Brackmann nie ustawał w dążeniu do forsowania swojej tezy. Sekundowali mu w tym uczniowie jego — tacy, jak G. Sappok i H. Ludat. Sam Brackmann niebawem w przededniu wojny i w toku wojny wystąpił w pierwszej linii agresji naukowej. Teraz już był zupełnie bezceremonialny. Teksty Widukinda wkładał w usta Thietmara i w ten sposób u boku Gerona podbijał Mieszka w r. 963. Stąd już była prosta droga do wczesnego uzależnienia biskupstwa poznańskiego od arcybiskupstwa magdeburskiego.

Równolegle z tym podjął i forsował Brackmann tezę o wilkińskim początku Polski. Tezę tę rozbudował w duchu wyobrażeń hitlerowskich. Wilkiński podbój Polski miał być fragmentem wielkiego wpływu świata nordycznego na bieg spraw europejskich. Razem z klęską Niemiec hitlerowskich i te poglądy straciły ostatnią rację swego istnienia.

Jeśli teraz spojrzymy syntetycznie na opisane zdarzenia, jeśli zdołamy przebić się przez gąszcz najpierw fragmentarycznych wzmianek źródłowych, z drugiej zaś strony tendencyjnych i błędnych poglądów, dochodzimy w końcu do ostatecznej konkluzji. Konkluzja zaś jest ta, że w połowie X wieku stało przed Polską pytanie, czy chrześcijaństwo ma się stać narzędziem zagłady politycznej a w przyszłości i narodowej, czy też może politycznie stać się narzędziem umocnienia ówczesnej państwowości polskiej. To był wielki problem w skali dziejowej Polski, jak również w skali dziejowej tej części Europy. Polityka polska rozwiązała go bez szkody dla ówczesnego interesu państwowego.

Dziś, gdy w Niemczech zachodnich nie brak tendencyj do wyzyskania katolicyzmu i związku z Rzymem dla ekspansji politycznej, której początek ma stanowić odłączenie Ziem Zachodnich Polsce, warto przypomnieć te dawne czasy.

Zygmunt Wojciechowski

U satyryków

NOWY program warszawskiego Teatru Satyryków, zatytułowany nielogicznie, ale dowcipnie bo kalamburzasto: „Siedem śmiechów głównych" — jest programem podtrzymującym dobre imię tej małej scenki, jak dotąd skutecznie od „Syreny" walczącej z pokusą sztampy satyrycznej i samopowielania. Powiedzmy szczerze, nie bojąc się oskarżeń o cenzurkowość: „Siedem śmiechów głównych" to widowisko udane.

Co to znaczy? — zapyta ktoś ze wścibskim mentorstwem podnosząc palec i brwi. To znaczy: widowisko jest żywe, lekkie trafne w lokalizowaniu ironii i dowcipu, błyskotliwe, zgrabnie powiązane w mniej więcej jednolitą całość, świetnie utrzymane we właściwych proporcjach skeczu, piosenki, inscenizowanego dowcipu i słowa konferansjerskiego, no i przede wszystkim — jest (wybaczcie zwrot nierecenzencki!) jakoś świeże.

Co to znaczy? — zapyta mentoroważy nudziarz, zarzucając powyższym określeniom nadmierną ogólnikowość. Moglibyśmy odpowiedzieć niegrzecznie: niech pan pójdzie, to będzie pan wiedział. Niestety, to niedopuszczalne trzeba więc — napisać tzw. normalną recenzję. Niechaj więc stanie się zadość nieuniknionej ponoć potrzebie obiektywizowania wrażeń.

Kompozycyjne ramy różnorodnej wewnętrznie całości widowiska stworzyła pomysłowa w swej polemiczności konferansjerka Zenona Wiktorczyka i Kazimierza Brusikiewicza. W żywość tej konferansjerki Wiktorczyk wniósł wiele dowcipów swojego autorstwa, natomiast z każdym przedstawieniem lepszy Brusikiewicz — swoją plastykę gestu i mimiki, przekonującą siłę komiczną dobrej gry aktorskiej. Ich współpraca zapewniła lekkość i żywość wewnętrznych powiązań widowiska.

Stenogram z tego widowiska brzmi: po świetnych inscenizacjach trzech dowcipów („Jak z rękawa"), niespecjalna, naiwnie milusia piosenczka „Kolega Musiałek" zabawna krytyka szablonu recenzenciarzy („Sprawa jest jasna") i monolog znowu przywróconej scenom polskim Chmurkowskiej („Znachor"), dla oddechu — sentymentalna śpiewka „Pantofelki" w wykonaniu bardziej sympatycznego niż obdarzonego talentem pieśniarskim Mielczarka, ciekawie pomyślany bo wśród publiczności lokalizujący pointę skecz pióra Wiktorczyka „Z ołówkiem w ręku" (wykonany przez Darskiego i Żórawskiego), kapitalnie wykonany przez Brusikiewicza monolog Wiktorczyka „Placówka kulturalna" i umiejętnie przez Prolińską zegzotyzowane pieśni cygańskie.

W czasie przerwy wypadało odnotować zdecydowane zwycięstwo aktorskie Chmurkowskiej i Brusikiewicza w monologach, oraz niewątpliwy sukces Wiktorczyka jako autora większości odwcipnych tekstów.

Druga część była prezentowaniem piosenki i monologu (jeśli nie liczyć mniej od innych udanego skeczu „System" i „Spotkania"). Piosenka to: „Wiechowe nuty" (w wykonaniu H. Głuszkówny, K. Mielczarka i S. Żórawskiego) oraz występ Sztattlera. Wiązanka melodii góralskich robiła wrażenie zbyt wystylizowanej, a już S. Żórawski przesadził na pewno w matołkowych minach. Nie koniecznie każdy juhas musi być głupim Jasiem. Natomiast Sztattler święcił zasłużony triumfik. Obydwie jego piosenki, a zwłaszcza wywołana bisowaniem dowcipna piosenka o legendarnym już niemal koniku, to urocze kameralne majstersztyki piosenkarstwa estradowego. I autorowi, i wykonawcy należało tak klaskać jak klaskano. W konkurencji monologowej startowała znowu Chmurkowska, znowu Brusikiewicz, oraz Darski (w „Taksówce nr. 13" Wiecha) i S. Żórawski (w „Ich dziesięcioleciu" A. Słonimskiego). Darski usiłował zręcznie zatuszować braki starzejącego się koniszmu Wiecha — chwilami nawet mu się to udawało.

Pomysłowy finał był dobrym akcentem podkreślającym całościowość widowiska

A widowisko było żywe, lekkie, trafne w lokalizowaniu ironii i dowcipu, błyskotliwe...

Czy jednak już tego gdzieś nie napisano?

St. Zyglich

NOWOŚĆ

Zbigniew Kowalski

ORDER ZIELONEJ RÓŻDŻKI

Opowiadania łowieckie i przyrodnicze

Str. 154 zł 9.15

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

SPROSTOWANIE

Do artykułu Zbigniewa Czajkowskiego pt. „Kłopoty z kryzysem", drukowanego w ostatnim (16) numerze DiJ wkradł się przykry błąd korektorski, za który redakcja przeprasza Autora artykułu i Czytelników. Autorem zdania „L'etat c'est moi" jest oczywiście Ludwik XIV, a nie jak mylnie wydrukowano — Ludwik XVI.

POLEMIKI

CHODZI O DOBRĄ MUZYKĘ

Życie jest splotem wielu dużych i małych dramatów — odkrywanie ich i ukazywanie jest zaletą twórców.

Ostatnio odkryto jeszcze jeden dramat. Jest to cichy dramat wewnętrzny przeżywany przy akompaniamencie „rytmicznego hałasu" — czyli dramat zaprzysiężonego zwolennika muzyki poważnej, zmuszonego do słuchania lekkich, popularnych melodii. Echo takiego dramatu odbiło się na łamach „Dziś i Jutro" (Nr 12) w postaci felietonu Jana Kosa pt. „O lepszą muzykę". Ten protest męczennika lekkich programów muzycznych i piosenek „przepełnionych subtelną dorożkarską poezją" wzbudził we mnie wiele sprzecznych uczuć — i dlatego pragnę uzupełnić go od siebie kilku uwagami.

Dobrze się stało, że toczącą się (zresztą dość ospałej) polemika prasową nad programem muzycznym „Polskiego Radia" doczekała się w „Dziś i Jutro" chociaż felietonu, odznaczającego się zresztą świeżością, dowcipem i odwagą sformułowań. Choć wystrzelono dobrymi gatunkowo nabojami i w dobrych zamiarach uśmiercenia „szmiry", to jednak nie całkiem celnie.

Pierwszy strzał poświęca autor felietonu modnej piosence „Wio, koniku" — jak stwierdza, „znanej wszystkim ludziom wrażliwym na muzyczne piękno" i „pachnącej sianem i obrokiem". Przypuszczam, że sformułowania te nasunęły się autorowi po usłyszeniu po raz setny tego modnego refrenu — i jeśli tak, to się mu nie dziwię. Wszystko się znudzi, a „szlagiery" — szczególnie szybko. Ale nuda — to sprawa subiektywna. Ja, np., nie wytrzymuję nerwowo większej dawki jak dziesięć razy dziennie „Wio koniku" i kiedy za jedenastym razem zanuci tę piosenkę konduktorka tramwaju, którym wracam z pracy do domu, wysiadam — dosłownie i w przenośni. Sprzeciwiłbym się jednak tak bezkompromisowemu potępieniu tej niewinnej piosenki, jak czyni to autor felietonu „O lepszą muzykę", jeśliby ocena wartości tej kompozycji wynikała u niego nie z chwilowego subiektywnego przesytu, a z obiektywnej krytycznej analizy muzyki i tekstu.

Już sam fakt „chwytliwości" tej piosenki zmusza do zastanowienia, że coś w niej jest jednak, co się podoba ludziom. Jak stwierdził poeta radziecki Dołmatowski — „krytycy mają dziwny zwyczaj zaliczać powodzenie piosenki na rachunek muzyki, a niepowodzenie — na rachunek tekstu". Nie ulegając tym brzydkim (i u nas też rozpowszechnionym) zwyczajom stwierdzić trzeba, że w piosence „Wio koniku" zarówno melodia, jak i tekst są „chwytliwe". Piosenka ta, skomponowana do filmu, a więc nie zamierzona bynajmniej jako odrębna „pieśń masowa", stała się w krótkim czasie niezwykle popularna — a więc stała się w pewnym sensie „masowa". Oderwana od akcji filmu, spotkać się może z wielu zarzutami. Czy jest jednak szkodliwa, nieciekawa, wulgarna — i „pachnąca obrokiem"? Nie. Dlaczego mamy ją więc krytykować?

Odpowiedź znajdziemy pośrednio w trafnym stwierdzeniu kompozytora I. Dunajewskiego, zamieszczonym na łamach „Sowietskoj Muzyki" (Nr 5/52): „W krytyce pieśni przyjął się zwyczaj bicia na odlew. Niekiedy najszlachetniejsze zamierzenia, które z jakichkolwiek powodów nie zostały właściwie zrealizowane, niektórzy krytycy gotowi są nazwać tandetą". I dalej: „Jeśli pieśń podoba się samemu krytykowi, to fakt jej popularności gotów jest uważać za przejaw rosnącego artystycznego smaku narodu. Lecz jeśli pieśń z jakichkolwiek powodów krytykowi się nie podoba, chociaż podoba się masom, to fakt ten tłumaczy krytyk zacofaniem i zepsuciem smaku wśród „niektórych warstw" naszego społeczeństwa... Nie wolno uważać za „zacofanych" wielotysięcznych tłumów, jednomyślnie oklaskujących lubianą przez siebie melodię, choćby to nie było miłe dla niektórych „surowych" krytyków lub ortodoksalnie myślących kompozytorów, podobnych do przysłowiowego oficera, uważającego, że to nie on, a cała kompania maszeruje „nie w nogę"...

Również poeta Dołmatowski stwierdza (w n-rze 3/52 „Sowietskoj Muzyki"), że „...skoro tylko pieśń liryczna zdobędzie sobie szeroką popularność — już przesadne **„damy klasowe" od muzykologii** śpieszą z ogłoszeniem tej pieśni jako „przejawu złego smaku"...

Jeśli więc u nas w Polsce będziemy w podobny sposób oceniać twórczość muzyczną, dojdziemy do tego, o czym pisze znowu Żarkowski: „...Sam fakt użycia tonacji minorowej był już przez krytyków uznany za wyraz „przygnębienia", synkopę uważano za dowód rytmiki jazzowej, chromatykę za antynarodowość, ośmiotaktowość okresu za prymitywizm, a użycie dwu- lub trójdzielnego taktu za skłonność do muzyki tanecznej"...

Przytaczam dla przypomnienia, te wszystkie wypowiedzi, ponieważ wiele prawd w nich zawartych można z powodzeniem odnieść do pewnych sformułowań Jana Kosa. Powracając raz jeszcze do nieszczęsnego „Konika", zgadzam się całkowicie z autorem felietonu co do wadliwej polityki rozpowszechniania stosowanej przez wytwórnię płyt gramofonowych „Muza". Nagranie na płyty, jak głosi fama, w kilku tysiącach egzemplarzy piosenki „Wio koniku", w porównaniu z nielicznymi nowymi nagraniami utworów symfonicznych czy operowych, budzi słuszne zastrzeżenia. Trudno ich nie mieć, jeśli wchodzi człowiek do sklepu z płytami i na pytanie: „Czy jest III symfonia Szymanowskiego?" otrzymuje odpowiedź: „Nie ma. Ale jest za to „Wio koniku"... Tu coś wyraźnie „nie gra" z tymi nagraniami. Brak proporcji i planu. A więc brak tego, co znalazło już zastosowanie w nowym ramowym programie „Polskiego Radia". I nie ma racji Jan Kos, jeśli twierdzi, że program „Polskiego Radia" tylko „w minimalnym stopniu" uwzględnia muzykę poważną. A fakt, że w wypowiedziach słuchaczy radiowych znajdowały się wręcz odwrotne zarzuty (że „radio poświęca zbyt dużo uwagi muzyce poważnej") świadczy, że po pierwsze — właściwie żadnej ze stron nie dzieje się krzywda co do ilości, po drugie — że w żadnej z tych dziedzin nie ma istotnego starania o rozwój i właściwą linię repertuarową.

A więc chodzi nie o ilość — a o **jakość.** I tu zgodzę się z Janem Kosem, że „ radio nie wykorzystuje w pełni możliwości systematycznego zaznajamiania szerokich mas słuchaczy z arcydziełami (muzyki poważnej) przez częstsze ich powtarzanie" Zgodzę się również z drugim jego twierdzeniem, że „program radiowy posiada swoje ulubione, powtarzające się często utwory — zwykle jest to jednak muzyczna tandeta, albo marginesowa twórczość kompozytorów, mających wiele wartościowszych utworów w swoim dorobku".

A zatem, powtarzam, głównym celem ataku powinna być nie **ilość** czasu poświęcanego muzyce poważnej i lekkiej, lecz **jakość** tej muzyki nadawanej przez „Polskie Radio".

Niepokojące tendencje zejścia na pozycje „damy klasowej od muzykologii" dostrzegam jednak w wypowiedziach Jana Kosa skierowanych pod adresem słuchaczy radia oraz miłośników muzyki lekkiej. Jest dobrze, gdy najszersze warstwy społeczeństwa wciągane są do dyskusji na temat muzyki — i sądząc po ilości wypowiedzi słuchaczy „Polskiego Radia", szerokie masy uważają sprawę muzyki za swoją sprawę, czyli: interesują się muzyką. Czy liczne protesty przeciwko „zbyt wielkiej ilości" muzyki poważnej można jednak uznać za... „naturalny odruch i zrozumiałą krytykę ze strony ludzi, w których nie wytworzono jeszcze potrzeby muzycznych wrażeń odmiennych od rzępolenia zespołu tanecznego czy mile wpadających w ucho melodyjek (J. Kos)"? Wydaje mi się, że nie można (i to jest właśnie u J. Kosa ten niepokojący, klasyczny ton „damy klasowej"). Wielu ludzi z wyższym wykształceniem muzycznym sądzi mylnie podobnie jak Jan Kos, że „z dobrą muzyką trzeba się oswoić, zanim się ją pokocha i zrozumie". Jeżdżąc po odległej i „głuchej" prowincji, spotykałem prostych ludzi **rozumiejących** muzykę Beethovena, chociaż nikt ich z nią przedtem nie **„oswajał".** Zrozumienie i odczucie prawdziwie dobrej muzyki stworzonej przez świadomego artystę — jest kwestią wrażliwości. A tej wrażliwości — drzemią nieprzebrane i niedocenione pokłady w tzw. prostych ludziach. Jest to stary błąd, popełniany np. przez „niedopisarzy" (jak określił ich I. Newerly), że wydaje im się, iż pisząc książki „dla mas", **uczyć** muszą te masy odczuwania rzeczywistości i prawideł myślenia. To przeciwnie — masy czekają na **dobrą** literaturę, która poruszy wszystkie nurtujące ich problemy, radości i bolączki, która zagra na wszystkich strunach **wrażliwej** duszy „prostego człowieka" — odczuwającego wszystko, a tylko nie umiejącego wszystkiego wyrazić. To samo jest z muzyką. A jeśli masy wysuwają żądanie: więcej muzyki lekkiej!" — podłoże tego tkwi zupełnie gdzie indziej, niż to mniema Jan Kos. Wywodzi się to nie z braku potrzeby muzycznych wrażeń odmiennych od „rzępolenia zespołu tanecznego", lecz z tych samych przyczyn, co żądanie dobrej komedii filmowej i dobrej operetki. Nie można wiecznie jeść ciężkostrawnej choć nader pożywnej wieprzowiny, od czasu do czasu potrzebny jest człowiekowi także dobry i lekkostrawny deser. Zrozumieli to już (lepiej późno niż nigdy!) nasi reżyserzy filmowi, zrozumieli twórcy warszawskiej sceny operetkowej w Teatrze Nowym — nie zrozumieli, jak widać, wszyscy krytycy muzyczni.

A co do „rzępolenia zespołu tanecznego": nie wiem jakich zespołów tanecznych słucha Jan Kos, gotów jestem jednak bronić przed wszystkimi „damami klasowymi od muzykologii" naszych najlepszych radiowych orkiestr tanecznych, które w niczym nie ustępują najlepszym zespołom zagranicznym i wkładają dużo pracy zarówno w orkiestrację, jak i wykonanie utworów.

Polska nie składa się, na szczęście, z samych muzykologów i miłośników słuchania muzyki poważnej z ołówkiem w ręku, celem sporządzania (w chwilach głębokiego zachwytu) suchej, uczonej analizy wykonywanego utworu i sposobu jego wykonania, a zamykających głośniki radiowe przy pierwszej zasłyszanej synkopie, akordzie septimowym czy gamie chromatycznej. „Lepsza muzyka" — to niepokojące określenie dla muzyki poważnej. Bo zarówno poważna, jak i lekka może być dobra lub zła. I powinniśmy bić się o to, aby obydwa gatunki były równie d o b r e.

K. Stolarski

wiadała się ze swoich — sama zdawała sobie z tego sprawę — nierealnych rojeń. Ale od tego czasu, jeśli w niedzielę rano nie było zawodów motocyklowych, chodził z nią do kościoła, by sprawić jej radość. Cieszyła się tym pokojnie i cicho.

Gdy żegnał się z nią przed wyjazdem do Korei, tak samo pokorna i cicha, jakby bardziej niż zwykle nieśmiała — zdjęła z szyi złoty, na złotym łańcuszku zawieszony krzyżyk i całując w czoło, nakładała mu go przez głowę. Czuł woń naftaliny, idącą od jej czarnej sukni i zażenowany mamrotał coś o szybkim powrocie, o potrzebnym jej schorowanemu sercu spokoju.

W pierwszym liście pisanym do Kunsanu przypomniała mu o tym krzyżyku. Pisała, że pociesza się w swojej samotności myślą o celu jego walki. Pisała, że ta walka to jak krucjata, że modlitwą jest z nim razem. Żachnął się wtedy na ten list, zbyt ostro swoim sentymentalizmem kontrastował z cyniczną, zuchwałą atmosferą kunsańskiej kantyny.

Teraz zapiekło go coś innego.

Stęknął ciężko, odchylając zbyt gorący nagle koc. Zdawało mu się, że niemal głośno powiedział nic nie rozumiecie, wszyscy niczego nie rozumiecie...

Zdziwił się do kogo to mówi, ale powtórzył: nic a nic.

Przez chwilę leżał spokojnie, potem chciał dokończyć: a ja... ja...

Wiatr nagle przypłaszczył się do szyb. Kerton odwrócił powoli głowę ku oknu. Wiatr zamilkł. Mrok izby nabrzmiewał ciszą. Kerton z ulgą zapadł w płytki, znowu niespokojny sen.

2

TAPLAŁ się w płytkim, falującym śnie jak w w spuszczonym, porośniętym wodną trawą stawku. Kogoś gonił, ktoś za nim pędził, jakiś miękki, wypchany rybami wór rzucał mu nagle ktoś pod nogi.

Otworzył oczy. W szpitalnej izbie był już dzień. W nogach jego łóżka siedział brodaty mężczyzna w postrzępionym dresie.

— No, jak się pan czuje, panie poruczniku?

Kerton mrugnął powiekami. Nie poznawał z początku, dopiero po chwili skojarzył głos ze zmienioną twarzą,

— Jak się macie, Mac Gleen. Skąd się pan tu wziął?

Sierżant jakby o kilka lat przez ten miesiąc postarzał, ale teraz oczernioną zarostem twarz miał po dawnemu czerstwą, a głos jak dawniej mocny i spokojny.

— Ano, stamtąd, od nas.

Wskazał podbródkiem za okno, jakby tuż obok szpitala obozowali jeńcy amerykańscy.

— Byłem tu już u pana ze trzy razy, ale pana nie było. Zaśmiał się przymrużeniem powiek i położył dłoń na kolanach leżącego.

— Źle z panem było, panie poruczniku. Bardzo źle. Ciut-ciut a pojechałby pan tam, skąd się nie wraca.

Kerton cieszył się odwiedzinami sierżanta, jak wyzwoleniem z zaczynającej ciążyć samotności. Nawet mu na myśl w tej chwili nie przyszło, że miał przecież obok siebie Lenocha. Dopiero teraz stwierdził obecność kogoś, z kim mógł porozmawiać.

— A co tam u was? Jak żyjecie? Co robicie? No — w ogóle. Opowiadajcie.

Sierżant nie bardzo wiedział, o co Kertonowi chodzi, nie bardzo umiał zacząć.

— Ech. Dużo by gadać. Różnie jest. Różni są. Zebrało się nas sporo. Będzie chyba ze stu. No, jak to w kupie ludzi. Są tacy, co węszą tylko za papierosem. Nie brak takich, co psioczą na nadpsuty bób. Nie smakuje im soja. Chcieliby pewnie, żeby dla nich sprowadzali puszkowe corn-beefy.

Zapalił mu się w oczach lekceważący błysk.

— No, są nawet tacy, którym już bez babskiego ciała się cni. Szukają kobiet wśród kolegów. Różnie jest, poruczniku.

Kerton chciał czegoś więcej. Wiedział, że Mac Gleen będzie mówił.

— Ale są i ludzie, którzy już coś zaczęli kapować. We łbie rozjaśniło im się nie jedno. Drugi raz ich na taką brudną drakę nie nabiorą. Szkoda gadać. Zobaczył człowiek nie jedno, poukładało się trochę w głowie.

Kerton czekał. Wiedział, że Mac Gleen trochę mu nie ufa, ale jednocześnie pamięta chyba niektóre ich rozmowy jeszcze z Ulsanu. Przygadywali się ku sobie półsłówkami o cholernej wojnie, o rodzinach zostawionych w domu. No i teraz przyszedł wyraźnie do niego, a nie do Lenocha. Był tu nawet kilka razy przedtem. Nie trzeba go tylko zbytnio nagabywać. Sam powie.

— Tak, panie poruczniku, rozjaśniło się w głowach. Późno. To prawda. Za późno. Ale jeszcze w czas.

Poruszył się na łóżku, obracając ku porucznikowi twarz.

— Bo jak się pomyśli, że miałby człowiek robić to samo dalej, znowu latać z napalmem i tym cholernym „Supropem" to...

Zawahał się przez chwilę i zbyt głośno, zbyt szybko powiedział:

— ...to lepiej, że człowieka strącili.

Spojrzał bacznie w oczy leżącego a potem jakby wracając do przerwanej relacji mówił już spokojnie.

— A w obozie, to różnie. Jesteśmy rozdzieleni po takich małych chałupkach. Spotkałem nawet Shirknopa. Wie pan, taki mały, ryży, co nas wszystkich w Kunsanie przy pokerze ogrywał. Zrobił sobie jakieś karty z pakowego papieru i ogrywa wszystkich w dalszym ciągu. Gra — o co sie da. O sztachnięcie papierosa z dębowych liści. Można palić. Albo o bób. Jak nie ma o co — to gra o kopniaki. Nic się nie zmienił.

Sierżant zamilkł, ale znowu wrócił do swojego.

— Inni się zmienili.

Pochylił się nad porucznikiem w poufnym zwierzeniu.

— Ja dołączyłem się do kursu nauki języków.

Jakby zawstydzony dodał wyjaśniająco:

— Zawsze się może przydać. Uczyli się tamci, to mogę i ja. Jedni z nudów to robią, a inni nie tylko z nudów. Uczę się rosyjskiego. Są takie samouczki. Znaczy się: bukwary.

Spojrzał bystro znowu na porucznika, jakby niepewny reakcji.

— I trochę koreańskiego człowiek się osłuchał. Trudny język. Ale ciekawe takie różne rzeczy.

Przypominał sobie w skupieniu.

— Na przykład „towarzyszu doktorze" to u nich „kuni-tomu"... Albo „dziękuję" — „koma-semida". Trudne. Nie?

Zmarszczył się nagle.

— Ashfork tego nie uczył w Kunsanie. Ashfork! Prychnął jak zły kot.

— Albo sama ta „Korea". To podobno znaczy „kraj porannej świeżości". Ładne, nie?

— A „Sorion" to jeszcze ładniej, sierżancie Mac Gleen?

Odwrócili obydwaj głowy ku Lenochowi. Widocznie nie spał od dawna. Patrzył na sierżanta wyczekująco. W ładnej jego twarzy napięte były tylko te oczy. Kącik warg drgał ku dołowi.

— No, zaczyna wam się może podobać ten Sorion? Co?

Sierżant zacisnął ręce na kolanach. Wyglądało, że poderwie się ku tamtemu. Zdzierżył jednak. Nawet nie odwrócił głowy. Nie odezwał się ani słowem. Dopiero po chwili, jakby tylko dwaj byli w pokoju, mówił dalej do Kertona.

— Albo ta nazwa dla nas: migu. To u nich znaczy Amerykanin. A wie pan, co to znaczy naprawdę?

Kerton szukał rozpaczliwie w pamięci. Słyszał przecież to słowo. Ale gdzie słyszał? Gdzie? Przymknął powieki. Tak. Tam, w upiornym marszu z kruchą, porcelanową, bolącą czaszką. Zza pleców popędzał go tamten: pale, migu, pale...

Głos Mac Gleena ścichł, jakby w zażenowaniu.

— To znaczy dzikus, dzikie zwierzę, bestia, barbarzyńca. Czyli my. Ale co panu jest, panie poruczniku?

Kerton otworzył oczy.

— Nic, nic. Mówcie dalej.

Jednak miał w twarzy coś niewyraźnego, bo zaniepokojony sierżant wstał szybko z łóżka.

— To ja już pójdę. Zapomniałem, że z panem jeszcze nie wszystko w porządku. Wpadnę tu pewnie kiedyś. Trzymajcie się, poruczniku.

Chciał go prosić, żeby został, ale rzeczywiście coś w nim osłabło. Słyszał jeszcze, że Lenoch rzucił za przymykającym cicho drzwi Mac Gleenem słowo twarde i ostre, jak kamień. Słyszał potem, gdy sami już zostali w pokoju, że Lenoch gadał coś do niego w wyraźnym podnieceniu. Ale było to poza nim. W nim kolebały się tylko natarczywe pytania:

— Bestia? Dzikie zwierze? Barbarzyńca? Ja?

Szarpał się w sobie z odpowiedzią. Znowu szła na niego fala gorąca.

Ciąg dalszy nastąpi.

KAZIMIERZ STEFCZYK

LEON SCHILLER–ARTYSTA I PEDAGOG

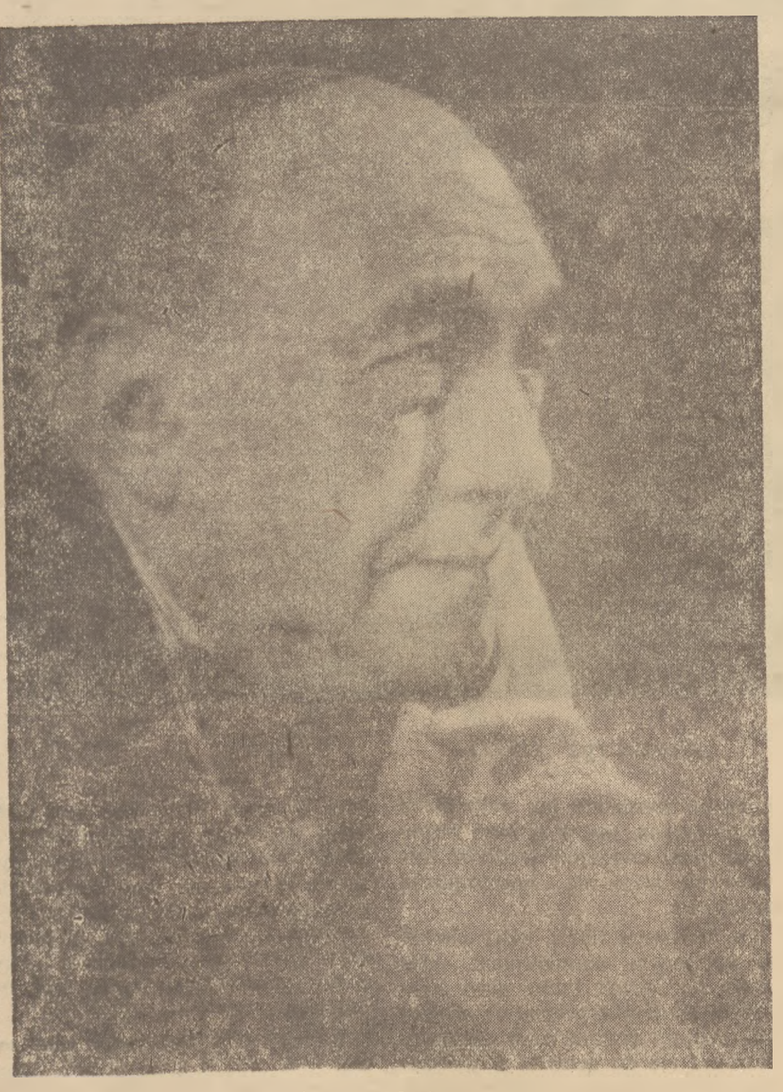

Leon Schiller

„Rzeczywistość teatralna w największym stopniu dysharmonizuje z naszą rzeczywistością polityczną". To trzeźwe, pełne niepokoju ostrzeżenie padło w grudniu 1945 roku z ust Leona Schillera.

Nie bez powodu mówił wówczas Schiller o pierwotnej bezideowości i mieszczańskim klimacie odradzającej się z ruin wojennych sceny polskiej. Ten wielki artysta, dla którego drogowskazem twórczego trudu była zawsze służba społeczna, zżymać się musiał, patrząc na stan naszego teatru w jego pierwszym powojennym okresie. Tempo zachodzących zmian społecznych i ich zasięg sprawiły, że zarówno aktorstwo, jak i scenopisarstwo utknęły w pierwszej chwili na martwym punkcie. Świadomie lub też nieświadomie broniono się przed inwazją Nowego, wdzierającego się w tradycyjne, mieszczańskie pojęcia o teatrze i jego roli. Niektóre, zwłaszcza prowincjonalne teatry, wznawiać poczęły sztuki z repertuaru międzywojennego, przeoczając bezkrytycznie fakt, że oprócz pojęcia „kasowości" istnieje pojęcie „służby społecznej".

Do pierwszego przełomu, do listopadowej, wrocławskiej mowy Bolesława Bieruta — było jeszcze daleko. W repertuarze powinny się były znaleźć postępowe, śmiałe i rewolucyjne sztuki polskie — a tych brakowało wówczas. Widownia zapełniała się po dawnemu mieszczańską publicznością.

Leon Schiller — zanim jeszcze wtórujące mu głosy podjęły dyskusję nad sposobami wyjścia z „kryzysu teatralnego" (jak określać poczęto stan ówczesny) — realizować począł w tym czasie teatr taki, jakim widział go zawsze: teatr, który jest sędzią sumień i bojownikiem praw ludzkich, teatr monumentalny.

Schiller pojawia się teraz co dnia na przyciemnionej widowni teatru im. Wojska Polskiego w Łodzi: reżyseruje „Krakowiaków i Górali". Robi z tej sztuki widowisko porywające. Oklaskuje je publiczność Polski i Czechosłowacji. Instynkt wielkiego artysty podpowiedział mu nieomylnie potrzebę wznowienia tego widowiska — i sukces twórczy, inscenizatorski był także sukcesem nieomylnego instynktu społecznego i wielkiej wiedzy Leona Schillera.

Następują dalsze jego inscenizacje — „Igraszki z diabłem" J. Drdy (przedstawienie, które zaskoczyło nawet samego autora tej sztuki śmiałością koncepcji i inwencji reżyserskiej), „Burza" szekspirowska, przepiękne i barwne „Gody weselne" — i inne, na których analizę poświęcić by trzeba osobną roprawę.

Schiller skupia wokół siebie i przyciąga z magnetyczną siłą świetnych aktorów, oddanych sobie ludzi teatru, wybitnych scenografów. Gromadzi też wokół siebie młodzież, która w kręgu jego wielkiej indywidualności dojrzewa i kształtuje swój talent: Schiller obejmuje stanowisko rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi, powołanej do życia rozporządzeniem Ministra Kultury i Sztuki dnia 5 lipca 1946 r.

W obszernych salach tej szkoły, w dawnym pałacu Poznańskich realizuje Schiller z pomocą oddanych sobie pedagogów nowy program studiów teatralnych, wyprzedzając znacznie dokonaną później reformę szkolnictwa teatralnego. Młodzież zaprawia się w tej szkole do nowego sposobu pracy. Współpracują tam ze sobą profesorowie — praktykujący i teoretycy. I tak np. w seminarium poświęconym analizie tekstów dramatycznych uczestniczył reżyser, prof. socjologii i psychologii, ćwiczeniami inscenizacyjnymi kierowali reżyserzy wespół z teoretykami dramatu i scenografami, a w seminariach widowisk muzycznych współpracowali zgodnie inscenizatorzy, profesorowie śpiewu, historii i teorii muzyki. W myśl statutu PWST zorganizowana została praktyka słuchaczy już na drugim roku studiów — na scenach teatrów: Wojska Polskiego, Powszechnego i „Melodramu" w Łodzi, oraz warszawskiej „Placówki". Młodzi adepci sceny — z wydziału reżyserskiego, aktorskiego i dramaturgicznego schillerowskiej szkoły — występowali w komparserii, w chórach, w małych rolach, oraz odbywali asystentury reżyserskie i dramaturgiczne, wszechstronnie przepracowując tworzywo artystyczne takich sztuk, jak: „Krakowiacy i Górale", „Powrót posła", „Pies ogrodnika", „Burza", „Otello", „Wesołe kumoszki z Windsoru", „Zagadnienie rosyjskie" Simonowa, „12 miesięcy" Marszaka, „Igraszki z diabłem" Drdy i „Krwawe gody" Garcia Lorki.

W tej pracy szczególnie odpowiedzialne zadania spoczęły na barkach słuchaczy Wydziału Reżyserskiego: referaty związane z zajęciami seminaryjnymi a dotyczące organizacji teatru i jego zadań społeczno-wychowawczych, prace związane z asystenturą, dokładne protokóły prób i raporty z przedstawień, sporządzanie partytur reżyserskich itp.

W schillerowskiej, łódzkiej szkole teatralnej zorganizowane zostały po raz pierwszy w Polsce dwuletnie studia na wyższym poziomie dla instruktorów teatrów ochotniczych — fakt o doniosłym znaczeniu z uwagi na żywiołowość ruchu teatrów ochotniczych.

PWST, jako pierwsza ze szkół artystycznych wprowadziła naukę o Polsce i świecie współczesnym. Wprowadziła też na próbę Kurs Operowy dla zaawansowanych słuchaczy Wyższej Szkoły Muzycznej, dając im możność wypróbowania i rozwinięcia uzdolnień aktorskich, wymaganych od artystów operowych (widowisko ludowe „Gody weselne" udowodniło w pełni wartość tego eksperymentu pedagogicznego).

Słuchacze łódzkiej PWST udowodnili nie jeden raz swoją wartość, a raczej wartość nowatorskich metod pedagogicznych Leona Schillera. Udowodnili choćby w widowisku śpiewno - tanecznym „Kram z piosenkami", a także w „Młodej Gwardii" Fadiejewa — zrealizowanej przez młody zespół łódzkiej uczelni.

Rok 1948-49 był ostatnim etapem owocnej działalności PWST w Łodzi, przed przeniesieniem jej do Warszawy i połączeniem z istniejącą tam Państwową Wyższą Szkołą Aktorską. Stwierdzić trzeba, iż żaden ze słuchaczy schillerowskiej szkoły z jej okresu łódzkiego nie zawiódł pokładanych w nim nadziei i nie zatracił wpojonej mu idei służby społecznej, niezależnie od trudności i przeszkód, jakie napotykali lub napotkać jeszcze mogą na swej drodze. Świadomość walki nowego ze starym i pamięć rozmów, które było im dane toczyć z wielkim pedagogiem, Leonem Schillerem — przenikają ich poczynania i wysiłki na samodzielnej, twórczej drodze sztuki.

Nowy okres pracy Leona Schillera rozpoczął się od powierzenia mu 1 września 1949 kierownictwa artystycznego Państw. Teatru Polskiego w Warszawie. Był to zarazem rok wielkiego przełomu na scenach polskich: przełomu repertuarowego i ideologicznego. Sceny polskie przestały już obawiać się upolitycznienia, dyrektorzy teatrów przestali schlebiać gustom mieszczańskim. Zmiana repertuarowa była konsekwencją przemian ideologicznych zachodzących w świadomości ogółu ludzi teatru, jak również konsekwencją zmian zachodzących na widowni teatralnej, na której w coraz większej masie pojawiała się „nowa" publiczność — robotnicza.

Nie przypadkowo też, ten rok 1949, rok przełomu, rozpoczął się od odznaczenia pierwszą państwową nagrodą teatralną Leona Schillera. On bowiem walczył niestrudzenie o nowy teatr polski, o nowego aktora, dramaturga i reżysera. Jeszcze w 1952 roku, podczas kwietniowego Plenum Zarządu Głównego SPATIF-u, mówił: „..My przecież umieliśmy — a sądzę, że potrafimy jeszcze — porywać i wzruszać masy widzów, należących do klasy pracującej (bo tylko taka publiczność była w czasach międzywojennych odbiorcą poważnych widowisk teatralnych) w sposób niezwykle prosty, dbając o klasyczną, dziś powiedzielibyśmy socjalistyczną czytelność wyrazu scenicznego, tłumaczącego jasno i dobitnie zwartość, celowość i lapidarność mowy scenicznej. Kto nie potrafi, winien się jej jak naprędzej nauczyć, wymaga tego bowiem sztuka epoki naszej, sztuka realizmu socjalistycznego, odcinająca się coraz wyraźniej od dekadenckiego formalizmu i naturalizmu mieszczańskiego"...

Sztuka Leona Schillera — to sztuka, na którą składała się olbrzymia i wszechstronna erudycja, suma doświadczeń wieloletniej pracy dającej w efekcie niezrównaną znajomość praw sceny i aktora, głęboką wiedzę muzyczną, malarską, literacką i historyczną. Tę wiedzę nie tylko gromadził przez lata, ale i przez lata nią emanował, dając jako twórca wspaniałe widowiska sceniczne. Okres, który zaczyna się od współpracy Schillera z głośnym Gordonem Craigiem i od pierwszej jego inscenizacji komedii dell'arte „Miłość i loteria", a kończy wspaniałą inscenizacją moniuszkowskiej „Halki" — czyli okres ubiegłych lat pięćdziesięciu, zamykających w sobie dokonania tego niestrudzonego Mistrza Teatru — nazwać trzeba **epoką Schillera.** I myślę, że tak u nas kiedyś nazywać będą wszyscy ludzie teatru te lata, których ostatnim ogniwem stał się rok jego śmierci.

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5. Zam. 871 5-B-150047

PRZEGLĄD CZASOPISM

Polonia Sacra

Ostatnio ukazał się Nr 1/1954 kwartalnika teologicznego „Polonia Sacra", który należy powitać z dużą radością. Nowy numer zawiera w dziale artykułów materiał wyłącznie filozoficzny i historyczny. Pozycją najciekawszą a zarazem największą objętościowo, zajmującą prawie pół numeru, jest zakończenie artykułu ks. Kłósaka pt. „Pierwszy argument kinetyczny na istnienie Boga ze Sum. c. Gent., lib. I. c. 13.", którego początek był drukowany w Polonia Sacra nr 2 z roku 1952. Autor, jeden z najwybitniejszych współczesnych filozofów katolickich w Polsce, dowodzi konieczności przekształcenia tomistycznego argumentu kinetycznego na istnienie Boga przez uwzględnienie aktualnego stopnia rozwoju nauk przyrodniczych, specjalnie fizyki atomowej. Artykuł omawia zagadnienie szczegółowo; w odniesieniu do poszczególnych etapów swej argumentacji autor przytacza opinię szeregu filozofów uwzględniając zarówno najwybitniejszych następców św. Tomasza, jak i literaturę lat ostatnich. Pewną wadą twórczości ks. Kłósaka jest nieprzejrzystość stylu, co łącznie z trudnościami samego tematu czyni artykuł prawie zupełnie niedostępnym dla osób nie posiadających gruntowniejszego filozoficznego przygotowania. To samo zagadnienie tylko w krótszej i bardziej spopularyzowanej formie omawiał ks. Kłósak w artykule zamieszczonym w 19 numerze Znaku. Tezy jego wywołały wówczas dyskusję, w której kilku znanych polskich teologów wypowiedziało się przeciwko poglądom ks. Kłósaka. Mimo tych przeciwnych zdań trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że filozofia tradycyjna, jeśli nie ma skostnieć, musi być konfrontowana z wynikami badań nauk szczegółowych, o ile nie w zakresie swych tez metafizycznych, to w każdym razie w zakresie stosowanej przez siebie argumentacji.

Drugą pozycją numeru jest krótki artykuł ks. Korcika pt. „Zdania egzystencjalne u Arystotelesa". Autor skrótowo omawia zagadnienie konstrukcji Arystotelesowskich zdań egzystencjalnych i przeprowadza ich interpretację, wskazuje autorów, którzy zajmowali się tym zagadnieniem oraz referuje zasadnicze stanowiska.

Na trzecim miejscu znajdujemy pracę ks. Bobera o „Nieznanych synodach dawnej diecezji krakowskiej wieku XVI i XVII". Artykuł referuje odkrycia dokonane przez krakowski Wydział Teologii w związku z przygotowaniami materiałów do przyszłego opracowania historii synodów krakowskich.

Dział sprawozdań i recenzji otwiera sprawozdanie ks. Wyczawskiego z prac Wydziału Teologicznego U.J. za lata 1945—1952/53. Sprawozdanie zawiera między innymi wykaz pracowników naukowych Wydziału, wylicza habilitacje dokonane i będące w toku, omawia działalność naukową i pedagogiczną, organizację prac, podaje również statystykę studentów.

Recenzje z książek omawiają ogółem 8 teologicznych pozycji, z tego jedną krajową i 7 zagranicznych, wydanych w latach 1950-53. Recenzje są dobre i ciekawe, zapoznają z książkami w sposób rzeczowy, referują stanowisko autora i wskazują zródła, na których się opierał, a zarazem przeprowadzają krytykę prac, jednym słowem należycie książkę umiejscowiają.

Jakkolwiek ogólna ocena numeru wypada bez wątpienia pozytywnie, jest niezmiernie trudno ocenić, jak rozwinie się dalsza działalność wydawnicza i jakiego rodzaju materiał otrzymamy w przyszłości. W związku z tym nasuwają się pewne refleksje. „Polonia Sacra" jest organem Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, co niewątpliwie w bardzo dużym stopniu decyduje i o składzie osobowym współpracowników i o doborze tematyki i w ogóle o charakterze pisma. W warunkach bogato rozbudowanej prasy teologicznej wskazana byłaby chociażby najdalej idąca specjalizacja, a nawet dopuszczalny byłby największy „elitaryzm" pojęty w sensie choćby wyłącznego omawiania i studiowania problemów bardzo specjalnych, dla ogółu inteligencji katolickiej niedostępnych czy nie interesujących i oderwanych od aktualnego katolickiego życia. Wydaje się jednak, że przy dość szczupłych, jak to ma miejsce u nas, wymiarach naukowej prasy ściśle teologicznej konieczne jest pewne rozszerzenie zakresu pisma przez uwzględnienie potrzeb nie tylko grona specjalistów, ale również ogółu katolickiej inteligencji i to zarówno księży, jak i świeckich. Nie chodzi oczywiście o jakieś popularyzacje i rezygnowanie ze ściśle naukowego charakteru. Chodzi po prostu o częściowe przynajmniej dopasowanie problematyki do zainteresowań szerszego grona odbiorców, o szersze uwzględnienie tej problematyki filozoficznej i teologicznej, która nurtuje ogół wykształconych katolików. Pozytywnym przykładem może być tu artykuł ks. Kłósaka. Z drugiej strony warto by było poświęcić więcej miejsca nie tylko w dziale recenzji, ale również w dziale artykułów ruchowi teologicznemu i teologicznym prądom nurtującym w tej chwili katolickie ośrodki intelektualne poza Polską, co nie musi być przecież równoznaczne z akceptacją wszelkich „nowości" w tej dziedzinie. Mamy nadzieję, że redakcja tego tak wartościowego kwartalnika zdobędzie się na trud przeprowadzenia analizy „społecznych potrzeb", o których była mowa wyżej i w szerszym niż dotychczas stopniu uwzględni je w następnych numerach.

E. J.

JANUSZ KOZŁOWSKI

MIEJSCE JÓZEFA ELSNERA W MUZYCE POLSKIEJ

Z pewnością znajdziemy w historii naszej muzyki nazwiska bardziej znane i popularne; bez wątpienia łatwo wyliczymy lepszych kompozytorów, zdolniejszych dyrygentów, bardziej utalentowanych teoretyków; nie wiem jednak czy zdołamy znaleźć muzyka, który potrafiłby stać się jednocześnie odnowicielem opery, założycielem Konserwatorium, motorem ruchu muzycznego stolicy w ciągu półwiekowej omal działalności, doskonałym pedagogiem, oraz płodnym i pracowitym kompozytorem. Każda z tych wartości i zasług mogłaby okryć sławą czyjeś imię. A przecież tyle ofiarności, inwencji, i oddania się bez reszty sprawom polskiej kultury wykazał jeden człowiek.

Gdy zajrzymy do życiorysu Józefa Elsnera, aż dziw bierze, że człowiek, któremu od dzieciństwa wpajano niechęć a nawet wrogość do wszystkiego co polskie, stał się w trzydziestych latach swego życia (a był nim aż do śmierci) jednym z pionierów i propagatorów naszej muzyki. Przy tym nie podobna przeoczyć, że owo pozyskanie go kulturze polskiej zawdzięczamy wyłącznie staraniom i zabiegom Wojciecha Bogusławskiego. Słynny ten aktor przybywszy do Lwowa z miejsca poznał zalety młodego dyrygenta niemieckiej orkiestry teatralnej i próbował go od razu zwerbować do swej trupy. Wiemy, że pierwszą pracą Elsnera związaną z polskim teatrem we Lwowie była... systematyczna nauka języka polskiego udzielana mu przez Bogusławskiego. Potem dopiero otrzymał zamówienie na skomponowanie muzyki do polskiego libretta. I wreszcie Bogusławski wracając do Warszawy w 1799 roku wiezie ze sobą świeżo kreowanego dyrektora opery warszawskiej. W życiu Elsnera rozpoczyna się nowy, pełen wysiłku i sukcesów okres. Nie tylko w życiu Elsnera. Od tego momentu bierze początek nowa epoka w dziejach stołecznej opery, świeży i twórczy rozdział w historii muzyki polskiej. Rozdział przygotowujący i umacniający grunt pod działalność Fryderyka Chopina.

Gdy zabaczyłem już o ten znany i wielokrotnie opisywany temat obrazujący stosunki między Chopinem a jego nauczycielem, muszę podkreślić: nie to jest ważne, że Ariel fortepianu był uczniem Elsnera (bo taki sukces mógłby się zdarzyć teoretycznie każdemu nawet przeklętnemu pedagogowi), ale ważny jest fakt istnienia w tym czasie wyższego studium muzycznego — Konserwatorium. W Konserwatorium bowiem mógł Chopin zdobyć podstawy swej wiedzy muzycznej.

Przenieśmy się jednak do początkowej fazy działalności nowego dyrektora. Rozpoczął on ją od podniesienia poziomu warszawskiej opery. Na afiszach ukazywać się poczęły nazwiska albo nieznanych jeszcze w stolicy, albo grywanych sporadycznie kompozytorów. Muzyka Mozarta, Rossiniego, a potem Webera rozbrzmiewała z warszawskiej sceny operowej. Francuska encyklopedia muzyczna mówiąc o muzyce polskiej przy nazwisku Elsnera pisze: „Pod jego kierownictwem warszawska opera osiągnęła doskonałość, której nawet Włosi mogli jej pozazdrościć". A pamiętajmy, że w tym czasie opera włoska uchodziła za szczyt kunsztu muzycznego. Nie całkiem jednak gładko i beztrosko wyglądało kierownictwo ówczesnej opery, mimo tylu niezaprzeczonych sukcesów. Od chwili objęcia przez Karola Kurpińskiego posady drugiego dyrektora rozpoczynają się tarcia i niesnaski. Powodem ich są przede wszystkim kompozycje obu antagonistów. Otóż Elsner komponujący pokaźną ilość utworów dramatycznych, do których słowa pisali głównie Bogusławski i Dmuszewski, okazał się jednak twórcą mniej od Kurpińskiego utalentowanym. „Leszek Biały", „Król Łokietek" czy „Jagiełło w Tęczynie" nie wytrzymywały konkurencji z „Pałacem Lucypera", „Jadwigą", „Nowymi Krakowiakami" lub „Cecylią Piaseczyńską". Już autor jedynej w Polsce historii opery, M. Karasowski, pisał: „Elsnerowi brakło na melodyjnych zdolnościach do kreślenia wyższej wartości utworów dramatycznych, więc też teatr nie był właściwym jego polem". Potwierdzają to w całej rozciągłości współcześni muzykolodzy (Jachimecki, Reiss). Lepsze przeto dzieła Kurpińskiego utrzymywały się dłużej na teatralnych afiszach. Elsner bolał nad tym, a nawet załamał się i w ciągu sześciu lat nie napisał żadnej opery. (dwie ostatnie z wyżej wymienionych powstały po tej przerwie). Nic tu jest jednak sedno sprawy: Kurpiński i jego obóz nie poprzestali na zasłużonym zresztą i nieuniknionym zwycięstwie. Rozpoczęło się podważanie autorytetu na polu krzewienia kultury muzycznej. Metoda była nieszlachetna, choć wówczas jeszcze niezmiernie chwytliwa: szowinizm narodowy. Elsner — Niemiec, Kurpiński — Polak, a więc zrozumiałe, że ten drugi lepszy. Nawet u tak bezstronnego krytyka jak Mochnacki czytamy: „Byłoby niesprawiedliwością nie przyznawać rzeczywistej zasługi temu, który gorliwością swoją i światłem w tak krótkim czasie prawie niepodobnych rzeczy dokonał, który najwięcej przyczynił się do podniesienia opery z cichych początków na europejską skalę". Naturalnie mowa o Kurpińskim, o Elsnerze ani słowa. Rozumiemy więc: to musiało boleć. I tym bardziej winniśmy oddać sprawiedliwość skrzywdzonemu muzykowi, wiedząc dziś, że powyższe słowa Mochnackiego właśnie do Elsnera powinny się odnosić.

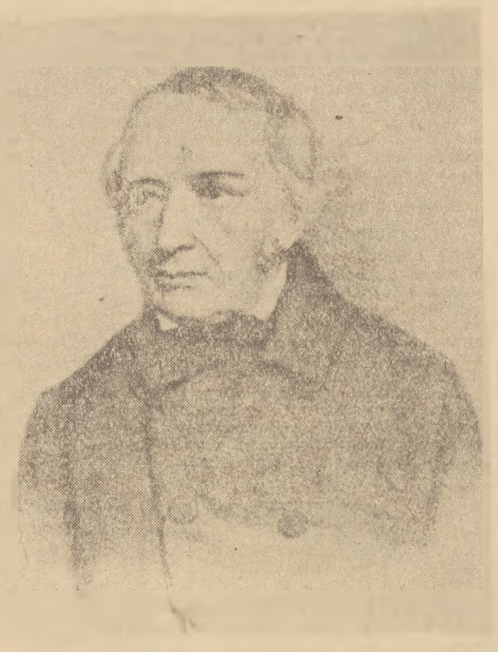

Józef Elsner

Nawet i jako rektorowi Konserwatorium nie dano Elsnerowi spokoju. Tu znów wraz z Kurpińskim działał profesor klasy śpiewu Włoch Soliva, który zawdzięczał szkalowanemu przez siebie przełożonemu sprowadzenie do Warszawy i stanowisko. Ta nagonka doprowadziła wreszcie do usunięcia Elsnera z dyrektury opery warszawskiej. Odtąd oddaje się prawie wyłącznie pracy pedagogicznej i działalności kompozytorskiej. Cofnijmy się jednak do czasu powstawania Konserwatorium. Jest rok 1810. Bogusławski zakłada szkołę dramatyczną, w której Elsner rozpoczyna wykłady muzyki i śpiewu. Po paru latach wyodrębnione zostają niższa i wyższa klasa muzyczna, jeszcze w ramach szkoły. Po dalszych staraniach Komisja Edukacyjna zezwala na utworzenie samodzielnej szkoły muzycznej. Wreszcie przy wybitnej pomocy Staszica uchwałą Rady Uniwersyteckiej w roku 1821 powstaje Konserwatorium jako jeden z wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego. Rektorat otrzymuje Elsner. W ten sposób przedstawia się w skrócie obraz utworzenia placówki, która tak ogromne oddała usługi polskiej muzyce, choć istniała zaledwie dziewięć lat (do powstania listopadowego). W tym krótkim okresie wielu muzyków otrzymało dyplomy, a między nimi Fryderyk Chopin, Oskar Kolberg, Feliks Dobrzyński, Tomasz Nidecki, Wojciech Sowiński i Józef Nowakowski. Nawet gdyby Elsner poza założeniem Konserwatorium nie odznaczył się żadnym innym dziełem w dziedzinie rozbudowy naszej kultury narodowej, już za to jedno należałaby mu się cześć i pamięć.

A przecież jest jeszcze działalność kompozytorska. Tu jednak poza dosłownie paroma wyjątkami trudno doszukać się cech prawdziwego talentu. Owszem, w porównaniu z ubogą schedą kompozytorską pozostawioną przez poprzedników i tworzoną przez współczesnych, działalność Elsnera ma walory i wzbogaca nasz dorobek muzyczny szeregiem dzieł posiadających pewną wartość (opery historyczne, niektóre pieśni, utwory religijne). Ale do przeciętnego nawet poziomu sztuki komponowania wznosi zaledwie kilka kompozycji.

Jedną z nich, odbijającą wyraźnie od reszty, staranniej opracowaną, w którą autor włożył wiele wysiłku i inwencji, jest potężne oratorium wielkopostne „Passio Domini Nostri Jesu Christi" (Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa czyli Triumf Ewangelii"), rezultat trzyletniego prawie trudu.

Całość twórczości religijnej Elsnera obejmuje 106 pozycji, w tym 16 mszy (kilka uroczystych), motety, offertoria, pieśni, kantaty, requiem i inne.

Na otwarcie Towarzystwa Przyjaciół Muzyki Religijnej i Narodowej (Elsner był jednym z założycieli) powstaje drugi szczytowy utwór religijny, hymn „Veni Sancte Spiritus".

Charakterystyczne, że muzyka kościelna rozpoczyna i kończy twórczość kompozytorską zasłużonego muzyka. Jeszcze we Wrocławiu, ucząc się teorii i kompozycji u OO. Dominikanów, komponuje pieśni, motety i offetoria. Zaś w swoim pamiętniku („Summaryusz moich utworów muzycznych"), pisze, że pierwszą melodią, która go chwyciła za serce i skierowała ku muzyce, była pieśń śpiewana w kościele przez lud śląski: „Boże kocham Cię".

O działalności jak i twórczości Elsnera dużo i długo można by jeszcze pisać. To jednak, co podałem, stanowi trzon najważniejszych i podstawowych wiadomości o człowieku, który choć nie dorównywał talentem niektórym współczesnym i wielu potomnym muzykom, potrafił ich doścignąć, a w licznych wypadkach przewyższyć wielkością swych zasług.

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Notatki o filmie włoskim

GIUSEPPE DE SANTIS

JEŚLI chce się zilustrować dynamikę rozwoju powojennego realistycznego filmu włoskiego — to chyba najlepszym przykładem będzie tu twórczość czołowej postaci tego filmu — Giuseppe De Santisa. Trzydziestki zaledwie dobijał De Santis, gdy zrealizował swój pierwszy samodzielny film „Tragiczny pościg" (1947). Jak wykazuje praktyka, wiek taki wśród twórców filmowych uważa się za „szczenięcy", zaś wystąpienia uwieńczone sukcesem podobnym do uzyskanego cytowanym filmem — za zapowiedź „cudownego dziecka". De Santis nie zawiódł tej zapowiedzi. Wychowanek rzymskiego Centro Sperimentale po zrealizowaniu dwu jeszcze bardzo ciekawych ale dyskusyjnych filmów: „Gorzki ryż" (1949) i „Nie ma pokoju pod oliwkami" (1950), dał dzieło o zaskakującej dojrzałości „Rzym godz. 11-ta" (1952), które stanęło w rzędzie najwybitniejszych osiągnięć kinematografii nie tylko włoskiej.

Samodzielny debiut w 1947 roku poprzedziły studia filmowe w jednej z najlepszych uczelni, kilkuletnia działalność krytyka filmowego, a wreszcie praktyka asystencka u Viscontiego w filmie „Opętanie" i u Vergano w filmie „Słońce wschodzi". Postawę ideową krystalizowały: udział w walkach partyzanckich, działalność w Komitecie Obrony Filmu Włoskiego, w światowym ruchu pokoju, w szeregach Włoskiej Partii Komunistycznej.

Już pierwszy film De Santisa skupiał zalety powojennych filmów włoskich, a ponadto posiadał cechy czysto indywidualne i tak charakterystyczne dla całej twórczości reżysera — żywotność i oryginalność. Z jednej strony ogromna szczerość i wyrazistość postawy ideowej a z drugiej wirtuozeria w opanowaniu środków wyrazowych zapewniły filmowi ogromny sukces wśród publiczności i życzliwe przyjęcie przez krytykę.

Tematem filmu, jak pamiętamy, była walka chłopów zakładających spółdzielnie rolnicze z bandami finansowanymi przez wielkich właścicieli ziemskich. Głównymi bohaterami filmu byli bandyci hitlerowscy lub ich rodzimi sojusznicy. Oczywiście taki wybór z góry implikuje krytykę. Taka koncepcja zaciera myśl reżysera, który rozgrywa problematykę społeczną na kanwie sensacyjnego wątku. De Santis jednak podszedł do tego zagadnienia z otwartą przyłbicą i z tak namiętnym atakiem, że efekt szczerości wzbudził zdziwienie. Ostateczne zwycięstwo zbiorowości społecznej nad wrogą indywidualnością, reprezentowaną przez bandę, było osiągnięte bez żadnych dramatycznych wymuszeń czy krętych aluzji. Zasadniczy wątek dramatyczny — walka chłopów o ziemię — mimo licznych odchyleń i nadbudówek, mimo pewnych niejasności w jego przeprowadzeniu — panował jednak nad całością filmu. Film na tyle szczery w pasji politycznej, nie budził obawy, że zostanie źle zrozumiany, potwierdziło to zresztą przyjęcie filmu przez publiczność. Filmem tym De Santis ujawnił wielką odwagę i maestrię w posługiwaniu się środkami wyrazu filmowego. Doskonałe charakterystyki bohaterów, zwłaszcza negatywnych, którym poświęcono zresztą może zbyt dużo miejsca w poszczególnych epizodach, naiwna może nieco gwałtowność ekspresji w przedstawianiu szczegółów, mistrzowsko ale jednocześnie zbyt pomysłowo utkana fabuła, wyobraźnia poetycka, nieposzlakowane budowanie toku narracyjnego, ogromne poczucie wyobraźni — oto szczególne cechy tego filmu. Niesposób nie podkreślić tej oryginalności i żywości podejścia, niesposób nie uznać wybitnej indywidualności twórczej.

„Gorzki ryż" (1949)

Następny film De Santisa, który miał w założeniu rozwinąć cechy talentu uwydatnione w „Tragicznym pościgu", raczej rozczarował. Krytyka określiła „Gorzki ryż" jako zatrzymanie się w miejscu, chociaż walory formalne tego filmu oceniano bardzo wysoko. Tematyka filmu poświęcona była nędzy oraz walce o lepszy byt sezonowych robotnic pracujących na polach ryzowych w Dolinie Padu. Podobnie jak w „Tragicznym pościgu" temat ten rozwinął De Santis w dramatycznej, frapującej akcji — i niestety przeholował. Melodramat gangsterski wziął górę nad opisem społecznym. Bandyci i wykolejeńcy życiowi przysłonili nędzę robotnic. Niejasność, z jaką potraktowane zostały wątki zasadnicze, istnienie wątków obcych, początkowemu założeniu i rozpaczliwa próba powiązania jednych i drugich — to wszystko jeszcze bardziej zatarło koncepcję reżysera. Z tych kompromisów powstał film. Wprawdzie „Tragiczny pościg" nie był wolny od usterek i powikłań dramaturgicznych, ale główny wątek wyraźnie wybijał się w filmie. Tymczasem w „Gorzkim ryżu" zasadniczy wątek nie tylko zaznaczony jest szkicowo, ale po prostu gubi się wśród kilku pozostałych tworząc plątaninę nie do rozwiązania. W filmie tym nie istnieje ścisły związek między tematyką a otoczeniem. Krajobraz zdaje się żyć własnym życiem i przytłacza często nikłe wątki tematyczne. Wydaje się to być konsekwencją posługiwania się pejzażem w sensie dokumentalnym i wydobywaniem z niego zbyt wielu możliwości ekspresyjnych. Brak jest dostatecznego powiązania dramaturgicznego bohaterów ze środowiskiem i często powstaje wrażenie, że postacie siłą są wtłaczane w otoczenie.

Rozwiązanie konfliktu filmu według ujawnionego w „Tragicznym pościgu" modelu dramatycznego De Santisa powinno rozegrać się na płaszczyźnie starcia między siłami „społecznymi" i „antyspołecznymi", to jest między byłą służącą Francescą a bandytą Walterem. Ale sprawę tę komplikuje postać robotnicy Silvane. I zawikłana struktura ideowo - formalna filmu mota się jeszcze bardziej. Zwłaszcza, że postać Silvany, która miała być jedynie symbolem pewnego typu ludzi żyjących mirażem łatwego życia i luksusu, przerasta wyznaczoną jej rolę. De Santis bowiem zbytnio rozbudował ją przez drobiazgową charakterystykę zewnętrzną. Wobec zwielokrotnienia wartości wizualnych postać Silvany dominuje nad otoczeniem. Środki, jakie miały rozwijać główny temat filmu, tym razem stały się celem.

„Tragiczny pościg" (1947)

Mimo tych wszystkich poważnych zastrzeżeń trzeba przyznać, że chociaż „Gorzki ryż" pogłębiał wszystkie wady De Santisa, to jednak jednocześnie cechy talentu ujawnione w „Tragicznym pościgu" afirmował w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. Jeżeli w „Tragicznym pościgu" mówiło się o doskonałej scenie z kolejką, którą jadą czarnogiełdziarze i handlarze, a następnie byli jeńcy wojenni i bezrobotni zdążający na wiec, jeśli mówi się, że scena ta była majstersztykiem montażowym, że zdumiewała zarówno pod względem ujęcia tematycznego, jak i opracowania plastycznego, to w „Gorzkim ryżu" znajdujemy szereg takich scen, które potwierdzają zarówno mistrzostwo narracyjne De Santisa, jak i wszechstronne wykorzystanie wizualno-akustycznych możliwości filmu. Bunt robotnic kontraktowych przeciwko ochotniczkom zakończony walką obu stron, poród jednej z robotnic na polu podczas burzy, a zwłaszcza taniec Waltera z Silvaną w rytmie boogie-woogie — są scenami nie dającymi się zapomnieć. Rytm muzyki w tej ostatniej scenie skanduje akcję w sposób niesłychanie sugestywny, pozwala na rozegranie jej bez słów przy użyciu jedynie subtelnej mimiki. Wirtuozowskie jest również zakończenie, gdzie dochodzi do zalania pól ryżowych i kradzieży ryżu przez bandę — równoległy montaż osiąga tu doskonałą ekspresję. Niestety jednak w wielu wypadkach ta wirtuozeria techniki reżyserskiej przemieniła się w żonglerkę doprowadzającą do sztucznych efektów. Najbardziej typowym przykładem tego była scena bójki w rzeźni, która z pozoru formalnie jak najbardziej rygorystyczna, jest w efekcie wypaczona przez nadużycie środków wyrazowych, staje się kontemplacją okropności.

Po premierze filmu, który cieszył się ogromnym powodzeniem, odezwały się jednak liczne głosy krytyczne. De Santis przyjął je w sposób godny prawdziwego artysty. Przyznał się do pomyłki i wyciągnął z niej naukę. Jego następny zrealizowany po roku film był tego najlepszym dowodem. Historia ukazana w „Nie ma pokoju pod oliwkami" była mocnym oskarżeniem wyzysku społecznego i w aktualnej sytuacji filmu włoskiego była głosem niesłychanie ostrym. Ale wymowa społeczna i tym razem w pewnym stopniu straciła swą drapieżność. Bogaty pejzaż górski wygrany bardzo ekspresyjnie dzięki użyciu techniki zdjęć o dużej głębi ostrości, zawikłana akcja fabularna pełna wątków melodramatycznych (gwałt, piękna kochanka) i sensacyjnych (pościg, efektowna strzelanina), monotonia długich ujęć panoramicznych i dialogów w głębinowych mizanscenach — wszystko to świadczy przeciw surowości i prostocie formy. De Santis używał tych środków równie nienagannie w sensie technicznym jak i w poprzednich filmach, nie stawały się one już jednak celem dla siebie, były bardziej zdyscyplinowane przez dramaturgię scenariusza, który rozegrał zasadniczy konflikt na płaszczyźnie starcia dwu sił społecznych o wyraźnie określonych i typowych postaciach bohaterów. I chociaż fabuła utkana była w przeróżne ozdobniki tematyczne, czy to melodramatyczne i sensacyjne, to jednak zasadniczy temat przez cały czas był pierwszoplanowy. I chociaż możemy mieć zastrzeżenia co do jego dramaturgicznego rozwiązania (niespodziewane zakończenie) to jednak jego wymowa polityczna jest całkiem oczywista. „Desantisiana" w filmie tym osłabiały wprawdzie wymowę tematu, ale wyraźnie służyły eksponowaniu postaci głównych bohaterów, świadczyły już o próbie zdyscyplinowania formalnego, któremu jednak daleko jeszcze było do prostoty.

W roku 1952 De Santis zrealizował film „Rzym godz. 11-ta". Dramat włoskiego bezrobocia znalazł w tym filmie wymowę dotychczas nieznaną w kinematografii włoskiej. Znalazł ją dzięki niesłychanie zdecydowanej postawie ideowej twórcy i klasycznej prostocie formalnej. Czy oznacza to, że film pozbawiony jest charakterystycznych cech jego stylu reżyserskiego, że „Desantisiana" przepadły bezpowrotnie? Nie, otrzymały one tylko formę bardzo zdyscyplinowaną. De Santis okiełznał nie ujarzmioną pasję oryginalności, nie tracąc przy tym nic z indywidualnego piękna. Upodobanie do zawikłanej akcji fabularnej znalazło swój wyraz w niezmiernie misternej sieci kilku opowiadań o losach bohaterek katastrofy na rzymskich schodach. Poszczególne wątki przewijają się przez film z wyszukaną zręcznością — jest to wprost majstersztyk dramaturgiczny. A co za lapidarność poszczególnych epizodów i doskonałość w kulminowaniu scen. Wirtuozowskie splatanie środków wizualnych i akustycznych (muzycznych) osiągnęło szczyt w niemej scenie powrotu Simony do ukochanego. Umiejętność charakteryzowania postaci za pomocą wizualnych a nie słownych form odnaleźć można w każdej z postaci filmu (np. dużą rolę odgrywa u De Santisa charakteryzowanie szeregu bohaterów przy pomocy motywu muzycznego).

Postacie kobiet, tak zawsze pieczołowicie wygrywane przez De Santisa, nareszcie utraciły sensualne przerysowania i drapieżność charakterystyczną dla bohaterek jego poprzednich filmów.

Droga do „Rzymu" była daleka i trudna. Prowadziła poprzez wyrzeczenie się własnych upodobań na rzecz idei dzieła, poprzez podporządkowanie jej całego mistrzostwa. Droga, jaką przeszedł De Santis, świadczy o tym trudzie wymownie a jest jednocześnie dowodem, że dojrzałość artysty wykuwa się tylko w odważnym eksperymentowaniu, w poszukiwaniu jak najpełniejszego wyrazu dla wyraźnie określonej politycznej idei.

KILKA SŁÓW

o teatrze

25-LECIE WARSZAWSKIEGO „BAJA"

obchodzono uroczyście 10 kwietnia pod protektoratem Ministra Kultury. Teatr dał prapremierę „Sławy Mistrza Twardowskiego" Jeżewskiej oraz zorganizował wystawę swego dorobku. „Baj" powstał z inicjatywy grona nauczycieli z przygodnego przedstawienia szopki w r. 1928, nadal też współpracowało z nim nauczycielstwo i ożywiał go śmiały duch wychowawczo - społeczny. Patronowało teatrowi RTPD. Główną autorką „Baja" była Maria Kownacka, której sześć utworów — w tym arcypopularny — o dzielnym szewczyku — wraz z bajkami Krzemienieckiej stanowiły podstawę jego repertuaru. Swoistość artystyczna teatru stanowi współgranie z kukiełkami konferansjera-narratora (J. Wesołowski). Ogromną była siła promieniowania „Baja", z którego inspiracji powstawały jeszcze przed wojną niezliczone teatrzyki lalkowe, zarówno w kraju, jak poza jego granicami. Kierownikiem artystycznym teatru jest Jerzy Dargiel.

„WIELKI CZŁOWIEK DO MAŁYCH INTERESÓW"

— tę późną komedię Fredry wystawił z dużą starannością Teatr Domu Wojska Polskiego jako warsztat reżyserski Olgi Koszutskiej; dekoracje i kostiumy Z. Strzeleckiego w tytułowej roli — Saturnin Butkiewicz. Pewną wadą przedstawienia było zbyt słabe wybicie momentów zwrotnych i point akcji, niektóre postacie przejaskrawiały też niedość zdecydowaną linię charakterów lub odchylały się od stylu fredrowskiego (efektowna skądinąd Matylda J. Hodorskiej).

PREMIERA MAURIACA W WIEDNIU

Wiedeński kameralny „Teatr w Pałacu Esterhazych" poświęca się wystawianiu problemowych sztuk współczesnej literatury katolickiej. Ostatnią jego premierą jest napisana w r. 1950 sztuka François Mauriaca „Ogień na ziemi". O ile Mauriac-publicysta potrafi — jak w wypadku Rosenbergów i księży-robotników — podjąć walkę o prawdę i sprawiedliwość, w powieściach, a bardziej jeszcze w dramatach, jego obraz człowieka jest chorobliwie wykrzywiony i niejasny. Tematem „Ognia na ziemi" jest miłość między bratem i siostrą. Pierwsze sceny sztuki są pełne napięcia, w dalszych brak stanowiska autorskiego czyni ją nużącą i beznadziejną. Nie ratują sztuki nawet liczne, niezatarte w przekładzie, piękności języka i stylu.

WYSTĘPY „ COMÉDIE FRANÇAISE" W MOSKWIE

Wiele ciekawych artykułów poświęconych występom „Comédie Française" w Moskwie ukazało się ostatnio w prasie radzieckiej. „Prawda" na dwu kolumnach dała sprawozdanie pt. „Stosunki kulturalne między Związkiem Radzieckim a Francją zacieśniają się". „Prawda" przypomina, że kiedy w 1922 r. po raz pierwszy po Rewolucji Październikowej grupa aktorów radzieckich wyruszyła za granicę, to najpierw grała ona we Francji. Przedstawienie teatru paryskiego — dodaje „Prawda" — stworzyły głębokie przeżycie artystyczne. Żywy dialog, gra pełna ekspresji, subtelny smak, doskonała interpretacja stylu epoki wyrażająca się w opracowaniu dekoracji i strojów — wszystko to razem stworzyło, że czuje się dążenie do realistycznego wyrazu w sztuce. Nie ma wątpliwości, że w związku z planem kulturalnym współpraca między naszymi krajami która opiera się na bogatych tradycjach, odpowiada w pełni interesom i głębokiej woli naszych narodów".

Natomiast „Humanité" pisze: „Przyjęcie, z którym spotkała się „Comédie Française" w Moskwie dowodzi raz jeszcze uczucia, które żywi się tutaj do Francji. Od zakończenia wojny, poza krajami demokracji ludowej, pierwszą grupą zagraniczną, która dała przedstawienie w Związku Radzieckim — jest grupa francuska. Stwierdzamy to z dumą i radością, że żadna inna grupa nie była przyjęta tak entuzjastycznie i tak serdecznie".

o plastyce

KATOLICKI KOŚCIÓŁ POWSTAJE W HIROSZIMIE

W japońskim mieście Hiroszima, niemal doszczętnie zburzonym przez wybuch bomby atomowej, rozpoczęto budowę świątyni katolickiej, której nadano nazwę „kościół pokoju". Znany architekt japoński Kunio Mayakavu jest autorem projektu tego kościoła.

Równocześnie w Tokio rzeźbiarz Kitamura pracuje nad pomnikiem, który ma być wzniesiony ku czci ofiar bombardowania atomowego w Nagasaki.

Olbrzymi ten pomnik dziesięciometrowej wysokości przedstawia mężczyznę, który jedno ramię wznosi do nieba, drugim zaś wskazuje na miasto, gdzie w sierpniu w 1945 r. w wyniku drugiej eksplozji atomowej zginęły 73.884 osoby.

WYSTAWA MARYNISTYCZNA W MOSKWIE

W kwietniowym numerze „Sowietskoj Kultury" ukazała się ciekawa recenzja T. Lebiediewej z wystawy marynistycznej w Moskwie. Wystawa ta otwarta w Centralnym Domu Armii Radzieckiej jest Pierwszą Ogólnozwiązkową Wystawą Marynistyczną. Na wystawie tej zgromadzono zarówno obrazy znanych malarzy radzieckich tej miary, co Krajniew, Nisskij, Tiepsichorow, Titow, Puzyrkow, jak również prace młodych artystów i absolwentów szkół plastycznych.

ZBLIŻA SIĘ BIENNALE

Na początku czerwca odbędzie się w Wenecji doroczna międzynarodowa wystawa sztuki — Biennale. Będzie to 17 impreza tego rodzaju. Do krajów, które do tej pory nie były na niej reprezentowane, a w roku bieżącym wystawią swe obrazy należy Polska, Finlandia i Wenezuela.

Jak wiadomo obok wystaw współczesnych jeden pawilon poświęcony jest zawsze jakiemuś kierunkowi w sztuce w ujęciu historycznym. W tym roku tematem tym ma być surrealizm.

o filmie

NOWE FILMY FRANCUSKIE

Dwa nowe filmy, które w ostatnich czasach weszły na ekrany kin paryskich, wywołały nie byle jaką sensację zarówno w prasie, jak i wśród publiczności. Nareszcie filmy rodzimej produkcji! Wyróżniające się swym poziomem na tle zalewu zaatlantyckiej szmiry...

Jeden z nich nosi nazwę „Przeznaczenia" (Destinées) i składa się z trzech odrębnych części, lecz łączy je wspólny motyw: losy kobiet podczas wojny. Każdą z nich opracował inny reżyser. (Film ten wyprodukowany został wspólnie przez włoskich i francuskich filmowców). Pierwszą część filmu pt. „Elżbieta" wyreżyserował Marcel Pagliero wg scenariusza znanego postępowego pisarza francuskiego, V. Poznera. Treść tej części — to wzruszające i tragiczne dzieje młodej kobiety, która traci męża podczas ostatniej wojny światowej.

Druga część tego filmu pt. „Joanna" jest fragmentem filmu Delannoy'a: Joanna d'Arc (wg scenariusza Jean Anrenche i Pierre Bost). W roli głównej występuje popularna artystka, Michèle Morgan.

I wreszcie trzecia część jest wolnym przekładem komedii Arystofanesa: „Lyzystrata" w reżyserii Chrystian Jaqua wg scenariusza H. Jeansona i Jeana Ferryho. Film ten uzyskał przychylną ocenę prawie w całej prasie francuskiej.

Natomiast wielki spór wśród krytyków wywołał film „Blé en herbe", skierowany przeciwko fałszywej moralności mieszczańskiej zaniepokoił niektórych przedstawicieli prawicowej prasy. Film oparty jest na powieści pod tym samym tytułem znanej autorki francuskiej — Colette, reżyserowany przez Claude Antant Lara: wywołał on gorące protesty, jakoby w obronie moralności młodzieży. Dziwne, że setki gangsterskich filmów amerykańskich nie ściągnęły na siebie takiej burzy.

TYGODNIE FILMÓW FRANCUSKICH I ANGIELSKICH W MOSKWIE

Jak donosi prasa radziecka — po tygodniu filmów włoskich, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem publiczności Moskwy, mają się odbyć w Zw. Radzieckim tygodnie filmów francuskich i angielskich.

CIEKAWA KSIĄŻKA

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Iskusstwo" wyszła ciekawa książka znanego radzieckiego reżysera filmowego. Jutkiewicza, pt. „W teatrach i kinach wolnych Chin". Autor opisuje wrażenia ze swej podróży po Chinach i zaznajamia czytelników z przemianami, jakie w ostatnich latach zaszły w dziedzinie teatru i filmu w wolnych Chinach.

o wszystkim

AFRYKA UCZCI W TYM ROKU SWEGO NAJWIĘKSZEGO SYNA

W roku bieżącym mija 1600 lat od urodzenia św. Augustyna. W związku z tym w Afryce Północnej odbędą się wielkie uroczystości religijne i kulturalne. Kierownictwo „Tygodnia Religijnego" w Konstantynie i Hipponie ogłosiło, że diecezja w której przez 35 lat święty Augustyn sprawował swe rządy biskupie, wspaniale uczci tegoroczną rocznicę. Obchody odbędą się głównie w dniu 28 sierpnia, w dzień rocznicy śmierci i święta liturgicznego św. Augustyna oraz w dniu 13 listopada, w rocznicę jego urodzin w Tagaste (obecnie Souk-Ahras), położonym około 60 km na południo-wschód od Bone.

Ogólnie wiadomo, że obecne miasto Bone, port środziemnomorski, znajduje się obok ruin dawnej Hippony, stolicy biskupiej świętego Augustyna. Dokonano tu ostatnio ciekawych odkryć archeologicznych. Badacze natrafili na resztki kaplicy, zbudowanej w kształcie koniczyny 7-listnej, pochodzącej z okresu św. Augustyna, a która — jak się wydaje — służyła mu nawet do odprawiania nabożeństw. W tym samym miejscu odkryto również ślady klasztoru, założonego przez tegoż świętego. Wykopaliska te nasuwają na myśl głośne odkrycia dokonane 5 lat temu przez admirała Marec, który po kilkuletnich stałych poszukiwaniach odkopał resztki katedry św. Augustyna.

Katedra ta ma 50 m długości i 20 m szerokości; posadzkę zdobi piękna mozaika. Z nawy głównej pozostały jedynie trzony kolumn z masywnego marmuru, których szeregi dają wyobrażenie o piękne tej budowli. Wśród ruin odnaleziono także części chrzcielnicy, groby biskupów i resztki prezbiterium wraz z kazalnicą biskupią.

Przypuszcza się, że admirał Marec w związku z tysiącsześćsetletnią rocznicą narodzin św. Augustyna opublikuje bogatą pracę poświęconą całości odkryć dokonanych pod jego kierownictwem w Hipponie.

SUKCESY „MAZOWSZA" W BUŁGARII

Jak wiadomo, polski Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" bawi obecnie w Bułgarii. 12 kwietnia w sali „Bułgaria" w Sofii odbył się pierwszy występ naszego zespołu. Salę wypełnili tłumnie robotnicy i pracownicy sofijskich zakładów pracy oraz liczni pisarze, artyści i uczeni bułgarscy. Obecni byli także członkowie Biura Politycznego KC Komunistycznej Partii Bułgarii i rządu bułgarskiego z premierem Wyłko Czerwenkowem na czele oraz poseł Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Sofii Marian Szczepański wraz z personelem poselstwa.

Po występie publiczność zgotowała zespołowi „Mazowsze" serdeczną owację.

DEMONSTRACJE DZIAŁACZY KULTURALNYCH W WIEDNIU

25 marca, po raz pierwszy chyba w historii Austrii, odbyły się demonstracje działaczy kulturalnych na ulicach miast. Demonstranci — tysiące uczonych, artystów, studentów, nauczycieli — protestowali przeciwko katastrofalnemu stanowi nauki i sztuki w kraju. Uczestnicy demonstracji nieśli transparenty z napisami: „Dotrzymując waszych przedwyborczych przyrzeczeń uratujecie sztukę i naukę", „Więcej dotacji dla szkół i nauczycieli". Profesor Wiedeńskiego Uniwersytetu, Schenbauer, oznajmił, że: austriacka kultura zbliża się do swej katastrofy. Większość wiedeńskich artystów nie znajduje pracy. Wyższe szkoły otrzymują mizerne dotacje.

przekład Ks. E. Dąbrowskiego
ozdobna oprawa płócienna
ze złoc. zł 65

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I 8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3 na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".